№ 32. Warszawa, dnia 26 Lipca (7 Sierpnia) 1875 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Przy Kolebce!

PRZEZ

Anastazyę Dzieduszycką.

(Dalszy ciąg).

VII.

Nauczać dziecię trzy letnie, jest to jak mówiliśmy kształcić jego zmysły i władze umysłowe, w porządku w jakim one same się budzą: więc zacząć od władzy postrzegania i pamięci, wieźć je do poznawania własności przedmiotów, upatrywania ich różnic i podobieństw, wyszukiwania przyczyn i skutków, wreszcie uogólniania pojęć: w porządku moralnym uczyć je rozróżniania złego od dobrego, pięknego od szpetnego, sprawiedliwego od niesprawiedliwego.

Wrażenie odbiera dziecię przez zmysły, głównie za pomocą wzroku i podczas gdy człowiekowi dorosłemu dość jest opisać słowy przedmiot jaki lub wydarzenie by w nim wywołać podziw, litość lub przerażenie, dziecię o wiele lepiej pojmuje, pamięta i ocenia przedmioty widziane w rzeczywistości lub w wizerunku. Na ten przeto zmysł dziecka zrazu działać należy i nie poprzestając na ustnem nauczaniu, pokazywać dziecku każdy przedmiot, który chcemy mu dać poznać lub jego wizerunek. Możnaby dziecku pokazywać otaczające je codzień przedmioty, zapytywać czy je zna, czy wie jak się nazywają, do czego służą, z czego zrobione, jakiego koloru, czy ciężkie czy lekkie i t. d. i tak się też postępuje ze starszemi 5 i 6 letniemi dziećmi; ale trzyletniego dziecka uwagę trudno zwrócić i zatrzymać na przedmiotach które codzień widzi: trzeba na nią koniecznie podziałać za pomocą nowości. Dla tego matka chcąca zacząć naukę 3 letniego dziecka od nauki poglądowej, musi zrobić niektóre do niej przygotowania.

A mianowicie radziłabym matce, ażeby miała pod swoim kluczem różne książki, wizerunki, przedmioty mogące tę naukę ułatwić. Do najpotrzebniejszych liczyłabym wszystkie tak zwane Froebla dary; tak sześć pierwszych pudełeczek zawierających piłeczki, drewienka różnych kształtów matematycznych, jak i dary późniejsze składające się z patyczków drewnianych do układania służących, tkactwa, wykałania, wyszywania, malowania i t. d. Nadto zwierząt domowych i dzikich jak najwięcej z drzewa lub kartonu, takież domki, sprzęty i narzędzia domowe, ale to wszystko o ile możności piękniejsze od takichże przedmiotów zostających w ręku piastunki dla ciągłej zabawy dziecka. Nadto jak największa liczba tablic kolorowanych, z obrazkami o ile możności wyraźnemi, dosładnie przedstawiającemi pojedyncze przedmioty (obrazki w *Równiance* Jeskiego są zbyt niedbale wykonane; w jego: „Świat i Dzieci“ przeciwnie nader staranne, lecz nie zupełnie dla malutkiego dziecka właściwe i dla niego też nie przeznaczone). Z tablic takich zalecają się: 1) „Reimer und Wilkie (Berlin) Metodische Bildertafeln zum Gebrauche beim Auschanungsunterrichte 6-te Auflage.“ 2) Schreiber: Esslingen Bilder zum Auschanungsunterrichte. 3) Wagner: Bilder zum Behuf des Auschanungsunterrichtes für Schule und Hans. Herausgegeben vom litografischen Institut von Schaufler und Schertlein in Göppingen. Podaję te tytuły w nadziei że księgarze nasi skorzystają z nich dla sprowadzenia tych tablic i ułatwienia matkom ich nabycia. Kilka arkuszy z wielkiemi drukowanemi literami zbiór ten uzupełni.

Z książek: całe wydanie Jeskiego (o którem później obszerniej mówić będziemy, dziś poprzestając na ogólnem uznaniu wielkiej usługi jaką swą pracą rodzinom oddał), chociaż z już wydanych dziełek tego autora tylko Równianka i A. B. C. mogą być natychmiast dla 3 letniego dziecka użyte, resztę powinna matka wcześnie badać i poznawać. Historya Święta z obrazkami, może najlepiej Pismo Święte pani Tańskiej; tekst nie zastosowany do umysłu dzieci, lecz matka weźmie zeń co jej potrzebne, a obrazki zajmą dziecko.

Bajki Jachowicza — Wiązanie Helenki — Wierszyki dla Ochronek we Lwowie wydane. Powieści dla ludu Kanonika Schmidta i Hoffmana. Chęcińskiego: Malowanka. „Mali ludzie i ich świat“. Nowosielskiego. Tablica szyfrowa czyli łupkowa i takiż ołówek uzupełnia uzbrojenie matki gotującej się do pierwszej z dzieckiem swem nauki.

Lecz zanim wskażemy matce jak tej broni ma użyć dla walczenia z niewiadomością swej dzieciny, słówko jeszcze poświęcimy metodzie nauczania Froebla, którego zabawki poleciliśmy jej przed chwilą; i do której w nauczaniu w części przynajmniej zastosować się jej przyjdzie.

Froebel opierając się na słowach Rousseau'a i Pestalozzego oraz na doświadczeniu własnem, twierdzi nader słusznie, iż dzieci są przedewszystkiem ciekawe, ruchu i czynności żądne, poleca przeto aby korzystając z tych wrodzonych im skłonności, uczyć je zrazu zabawą, działając na ich ciekawość, w ruchu i czynności je utrzymując, podając im jak najmniej gotowych już wiadomości i pewników, dla nich niczem nie udowodnionych, a raczej prowadzić umysł ich stopniowo do przyswajania i zdobywania niejako tych wiadomości za pomocą spostrzegania i doświadczania. Dawne metody uczenia wymagały od dziecka nieruchomości, biernego przyjmowania i pamiętania słów uczącego; metoda Froebla przeciwnie, wzywa, pobudza dziecię bez przerwy do działalności tak fizycznej jak i umysłowej. Chcąc się o tem przekonać przejdźmy całodzienne zajęcia dzieci w ochronce czyli ogródku Froeblowskim.

Gdy się dzieci z rana zgromadzą i staną w przepisanym porządku, ogrodniczka staje wśród nich i odmawia głośno krótką lecz gorącą modlitwę, którą dzieci spokojnie powtarzają; po jej ukończeniu, na

dany znak dzieci siadają. Godnem jest uwagi jak dzieci w ogródkach Froeblowskich, tak w skutek właściwego rozwoju umysłu, jak w skutek ciągłego wymagania przytomności umysłu, spokoju, porządku i rozwagi, poruszają się i działają trafnie, zręcznie bez hałasu i zamieszania. Ogrodniczka opowiada im krótką powiastkę, o ile możności tłomacząc myśl swoją nie tylko słowy lecz i ruchy stosownemi, a dzieci w milczeniu słuchają. Następnie bierze ogrodniczka dwa przedmioty mające z sobą kilka cech wspólnych, lecz i kilka przymiotów odmiennych, np. dwie kule drewnianą i włóczkową; i zapytuje: co to jest, z czego to zrobione, jaki ma kształt, czem te przedmioty do siebie są podobne, a czem się różnią? Dzieci odpowiadają wyraźnie, przyczem ogrodniczka odrzuca fałszywe a podnosi trafne odpowiedzi. Potem każe ogrodniczka dzieciom zamknąć oczy i za pomocą zmysłów dotykania, słuchu i woni rozróżniać inne ciał im podawanych przedmioty: kula twarda sprawia huk padając, piłka miękka upada cicho; wreszcie każe im w pokoju pokazywać przedmioty, mające własności wspólne z piłką lub kulą (przedmioty zrobione z drzewa lub wełny, koloru piłki i t. d.)

Po ukończeniu tych ćwiczeń mających na celu ćwiczenie zmysłów dzieci, ich daru spostrzegania i sądzenia, przechodzi ogrodniczka do innych wymagających od dziecka działalności i wprawy rąk. Daje im mianowicie wyżej wymienione dary Froebla, każdemu stosowny do jego wieku i każe im układać w równe kształty drewienka, patyczki, groch; lub wyszywać, rysować, tkać, malować — zawsze wymagając zrozumienia rzeczy, dokładności, porządku.

Prace te siedzące przeplatane są w porze letniej pracą w ogrodzie, dostarczające ruchu pożądanego, przy którym znowu dziecko uczy się nazw roślin, ich uprawy i pożytku i porządnej a pożytecznej działalności; w zimowej taniec ze śpiewem, zabawy ruchliwe, wreszcie opowiadania lub śpiewki z właściwą mimiką, np. dziecko opowiada wierszem czem jest mak i jak się uprawia, i zarazem pokazuje rękami jak się mak sieje, jak rośnie, jaki kształt jego kwiatu i makówki, wreszcie jak się ścina i wysypuje.

Każdy kto porówna tę metodę nauczania z dawniej używanemi w ochronkach, uzna jej niezaprzeczoną wyższość; radziłabym każdej matce ażeby się z nią zapoznać chciała czytając: Kilka słów o metodzie Froeblowskiej, Warszawa nakładem Redakcyi Przeglądu Tygodniowego.“ Książeczki dodane do każdego daru Froebla, a podczas bytności w miastach krajowych lub obcych w których są podobne ochronki zwiedzając je jak najczęściej. W domowem wychowaniu nie da się wprawdzie ta metoda całkowicie zastosować, wiele jednak z niej da się zużyć korzystnie; jeżeli ani na chwilę nie zapomnimy, że jeżeli każda metoda nauczania dobrą jest o tyle o ile jest dokładnie przez używającego jej pojęta i dobrze zastosowana, w Froeblowskiej wszystko niemal od uczącego zależy, gdyż nie ma w niej nic machinalnego, pamięciowego, rutynowego, a raczej że traci zgoła swą wartość gdy te cechy przybiera. Dla tego też matka powinna chwytać się tej metody tylko wtedy, gdy ją dobrze pojmuje i o tyle o ile ją pojmuje; kobiety nasze w ogóle mają mało, a raczej nie mają wcale wiadomości z nauk matematycznych, jeżeli przeto pomimo najlepszych chęci nie zrozumieją użytku darów matematycznych Froebla, niech ich użyją jedynie do zabawy dziecka, wstrzymując się raczej od wszelkich tłomaczeń, aniżeli do niedokładnych się uciekając.

Raczej w ogóle uczyć mniej rzeczy a uczyć ich dokładnie, raczej trzymać się starej metody dobrze znanej, aniżeli chwytać się nowej zastosować jej nie umiejąc. Dając bowiem dziecku pojęcia niejasne i nietrafne, utrudniamy mu dalsze w naukach postępy, zachwiewamy jego ufność ku nam, jego dla nauki uszanowanie.

(d. c. n.)

DO SMUTNEJ.

Dzieweczko, lilijko biała,
Gołąbeczko moja mała,
Smutek z czoła twego zrzuć.
Wszak ci życie się uśmiecha,
I radością grają echa,
Więc wesołą piosnkę nuć.
Czyż się już w twem sercu budzi,
Niechęć i niewiara w ludzi,
Trując młody umysł twój?
O niedopuść jej do duszy,
Bo wyziębi i wysuszy,
Czystych świętych uczuć zdrój.
Ty się skarżysz rozpłakana,
Żeś od ludzi niekochana,
Że świat cały to twój wróg.
Lecz ty cóżeś światu dała,
Byś miłości żądać miała,
Czem spłaciłaś życia dług?
Ach dzieweczko póki wiosna,
W sercu twem gości radosna,
Kochaj ludzi kochaj świat.
Bo już zima nie rozgrzeje
Duszy, co zlodowacieje
W rozkwicie porannych lat.
A kobieta z duszą chłodną,
Z sercem martwem, jest wyrodną,
Jest zakałą swojej płci,
Więc gołąbko moja droga,
Ty ukochaj ludzi, Boga,
A świat serce odda ci.

Kazimiera.

Szkice i Notatki

Z PODRÓŻY

MARYI SZELIGI.

IV.

WENECYA.

Królowa morza! Nazwa ta przystoi tak słusznie temu fantastycznemu miastu; tak naturalnie się nasuwa każdemu kto widzi potężne gmachy arcydzieł architektury, panujące nad falami groźnego żywiołu, iż nic dziwnego że tu wszyscy, miejscowi i turyści, gondolierzy, dzieci, lud, przy najmniejszej sposobności powtarzają z dumą: Regina di mare! Venezia la bella!

Oh! piękna! Piękna w swej koronkowej szacie rzeźb, i wzorzystych mozajek, choć nieco przyciemniałej, lecz cennej wieczyście; piękna w zaniedbaniu gdy szare mury noc i cisza okoli, a wody pluszczą łasząc się u stóp pałaców, i tylko gdzie niegdzie lampa mdławe rzuca blaski, i przeciągły okrzyk gondoliera spokój przerywa.... Ale gdy promienie słońca kopuły San-Marco wspaniale ozłocą, gdy z *palazzo ducale* powieją flagi jaskrawe, na piazza tłum się zbierze, i gwarem, pieśnią, ruchem, nagle ożywi każdy zakątek — wędrowcowi się zdaje jakoby został przeniesiony w odległe wieki, gdy nietylko piękność, lecz potęga i władza była tej królowej udziałem. Złudzenie takie miałyśmy po dwakroć, w czasie uroczystości odkrycia pomnika dla Manina, i przyjazdu cesarza austryackiego. Dziwnie się one zbiegły następując jedna po drugiej; lud też obchodził festę dla byłego dyktatora, z zapałem i wzruszeniem a przyjmował cesarza, ze świetnym przepychem, powagą i poszanowaniem. Nic bardziej fantastycznego i pięknego zarazem, nad widok lekkich bark przystrojonych we wstęgi, gazy, kwiaty, z wioślarzami w średniowiecznych ubiorach, których barwy zastosowane do gondoli, mieniły się w mnóstwo kolorów. Srebrne, niebieskie, różowe, lila, przesuwały się po canale-grande, wśród pałaców z których okien tysiące powiewało flag, i tysiąc głów kobiecych zewsząd wyglądało, zdobiąc piękne ramy rzeźbione niby wieńcem żywych kwiatów. Wieczorem fajerwerki z okrętów i wysp puszczane, były tak uroczem widowiskiem, jakiego wyobraźnia najbujniejsza nie może sobie stworzyć w najszczęśliwszej chwili. Niebo i woda, rozświetlone milijonami różnokolorowych gwiazd i promieni, wśród tego pałace uiluminowane niby w powietrzu zawieszone, a po falach wody i iskier, przemykające barki z postaciami niknącemi w mroku, lub nagle płomiennemi barwami oblanemi na chwilę... Całość była zachwycająca!

Gdyby można ten obraz odtworzyć, mógłby służyć za wzór do zaślubin Neptuna, na które Pluton przybywa z swym dworem, a Jowisz z świetlanego Olimpu zstępuje w orszaku bogów i bogiń, wśród huku piorunów na gwiaździstym rydwanie. Ciemne obłoki jak orły rozbiegły się w powietrzu; błyska księżyc na czole Dyanny, a Wenus rozpuściła swe złote trefione włosy nakształt promieni.... amorki różowemi skrzydełkami szybują nad wodą, rzucając do bark iskrzące strzały... O! co za obraz! niestety — ale do odtworzenia go, artyście barw, poecie słów zabraknie.

Plac świętego Marka oświetlony a giorno: tutaj znów tumult, wrzawa, krzyki do ogłuszenia — ale co za życie! My północni ludzie wyobrażenia mieć nie możemy co to jest *festa* włoskiego ludu. Pełni entuzyazmu, cały dzień będą biegać, gestykulować, wrzeszczyć, śmiać się: wszyscy zarówno zbratani i radzi przyjmują udział w zabawie i umieją się bawić doskonale. Ledwo nad ranem ustały frenetyczne okrzyki ludu, wywołującego wciąż króla, to znów żądającego od muzyki marsza *Garibaldi.*

Wracając do mieszkania, poszłam na *Piazettę*, i na dziedziniec pałacu dożów. Jakaż sprzeczność! Tu cisza, spokój... pusto. Złudzenie się rozwiało— milcząca żałoba *palazzo ducale* świadczy o zamarłej przeszłości, którąśmy w marzeniach naszych w obec święta narodowego wskrzesić chcieli...

Ale cóż to za przepyszne pamiątki świetnych czasów Rzeczypospolitej Weneckiej! Sale pałacu dożów mają ściany i sufity okryte obrazami zwycięzkich wypraw dzielnych Wenecyan, a jakież bogactwo wszędzie! Prace Tintoretta, Pawła Vezonesa i innych podnoszą cenę tych ozdób wspaniałych — lecz co do mnie, wolałabym, żeby zwyczaj umieszczania malowideł na suficie nie istniał wcale, bo dla przyjrzenia się sumiennego tymże dziełom mistrzów, trzeba swój kark literalnie na skręcenie poświęcić. Sala Wielkiej Rady robi ogromne wrażenie:—zda się, że tylko co dożowie opuścili swe miejsca, gdzie rozstrzygali ważne sprawy państwa. Napatrzywszy się portretom tych siwobrodych starców, okrytych purpurowemi płaszczami, zaludnia się temi postaciami przeszłości miejsca przechowanych pamiątek ich epoki; mimowoli zda się widzieć ich gdy

wstępują na złote wschody (Scala d'ozo), gdy zasiadają na wzniesieniu, i głoszą nieubłagane wyroki, w których wszelkie względy osobiste przytłumiał obowiązek społeczny.

Sala Rady Dziesięciu, z którą się tajnem przejściem łączy most westchnień, kędy więźniowie z okropnych lochów przeprowadzani byli na sądy—znów tysiące nasuwa wspomnień. Tu Marino Faliero, szlachetny obrońca praw swobody, oskarżony i potępiony został jako zdrajca ojczyzny;—tu Fosari skazał na śmierć własnego syna—a ileż mniej znanych ofiar, przebywało ów most, będący najczęściej progiem grobu... Po osądzeniu, wśród nocy, sprowadzano ich wązkiemi wschodami aż na dno więzienia, zamykano w małej bez światła celce, w której kamień zastępował miejsce łóżka. Przez otwór nad niskiemi drzwiami ksiądz wysłuchał spowiedzi, potem zbiry powlekli w wązki korytarz z okienkiem na morze, przez nie spadała ścięta głowa a ciało wrzucano w kanał, i w ciszy ginęło echo zbrodni i jej ślady... Nikt nie posłyszał jęku ni prośby nieszczęśliwego; noc, milczenie i kat, byli jedynemi świadkami jego męczarni. Straszne obrazy! Lżej się oddycha wyszedłszy na światło dzienne. Pójdźmy więc... barka chwieje się na modrej fali, popłyńmy nią, niech to miarowe kołysanie, te widoki ślicznych pałaców, łagodny szmer wody zlewający się z nieustającym prawie odgłosem dzwonów, myśl naszą ukoi, duszę miłem marzeniem utuli...

Bo tu musi się marzyć... miasto całe jest tak fantastyczne, tak piękne, tak odmienne są warunki powszedniego życia, że każdy ulega tym wpływom otoczenia i klimatu. Tu się dopiero czuje całą prawdę owego „dolce far niente." Wenecyanie wiecznie kołysani w swej gondoli, namiętnie lubiący widowiska, zebrania wieczorne na *piazza*, przesiadujący w kawiarniach, całą przyjemność życia zakładają właśnie na tem *far niente*. I nie dziw: w około takie pyszne dzieła sztuki, niebo gwiaździste lub lazurowe, barka zawsze gotowa unieść jak ptak na skrzydłach... ciepło, owoce, lody i wyborne chłodniki, cóż więc wypada tym czarnookim Wenecyanom innego robić, jak nie leniwie usadowić się na miękkich poduszkach gondoli, lub na kanapce w oknie, kawiarni i piękne źrenice obracać na wszystkie strony? Przecie czasy Eurico Dandolo lub Domenico Michieli bezpowrotnie minęły.

A wybitna to była postać ów doża Michieli, o którym ciekawe szczegóły znalazłam w bibliotece św. Marka. Ledwo objął swą godność, gdy Baldwin II król Jerozolimski przysłał doń prosząc o pomoc przeciw Saracenom, naciskającym bardzo Chrześcian. Podczas układów niebezpieczeństwo się wzmogło, Baldwin został uwięziony. Wtedy papież Kalixt II-gi udał się do wszystkich książąt, aby ich nakłonić do wyzwolenia króla i reszty współbraci walczących jeszcze w Syryi. Doża, pełen wojennego zapału zebrał obywateli, przeczytał im list Ojca świętego, i miał do nich przemowę, wypisaną całkowicie w historyi Rzeczypospolitej, która wywarła niezmierne na lud wrażenie. Wszyscy chcieli jechać na wyprawę—w krótce 200 okrętów popłynęło do Jaffy. Było to r. 1122. Taki był zapał między Wenecyanami że gdy się floty spotkały, przyjęli Saracenów okrzykami radości. Zaszła walka długa i straszna. Zwycięztwo było kompletne po stronie Chrześcijan. Dumni i upojeni zwycięztwem, objęli port Jaffy, a doża udał się do Jerozolimy. Wodzowie którzy rządzili od czasu uwięzienia króla, przyjęli go jako sprzymierzonego zwycięzcę. Ale należało korzystać z entuzyazmu wzbudzonego powodzeniem, a że, nie miano planu wojny, spuszczano się na Opatrzność. Imiona kilku miast były opisane i wrzucone do urny, postawionej na ołtarzu: po mszy, dziecko wylosowało *Tyr* jako wskazówkę że go oblegać należy.

Wyruszono natychmiast. Tyr należał do władzców Egiptu i Damaszku, otoczony całkiem morzem nie był jednak najtrudniejszy do zdobycia. Tu podczas oblężenia miała być zastosowana po raz pierwszy gołębią poczta, choć inni twierdzą że gromady gołębi żywionych kosztem miasta spacerujących po placu św. Marka, należą do wyprawy Henryka Dandolo.

Szczęście sprzyjało orężowi Wenecyan: Tyr został zdobyty. W dalszym ciągu wojny, na stałym już lądzie, zdarzył się wypadek charakteryzujący nieustraszoność i niemal fanatyzm wojenny doży. Między wojskiem walczącem z Saracenami, wszczęła się zaraza; zaczęto więc szemrać, że sprzymierzeni Wenecyanie oszczędzają się i w bezczynności czas marnują. Dumny doża, przekłada to swym podwładnym, rozkazuje obalać maszty, ściągać żagle i całą załogę floty wysadza na ląd z przemową do wodzów, że teraz niebezpieczeństwa dla obu stron są zrównoważone, gdyż lada wicher może zniszczyć całą flotę, i że tym sposobem Wenecyanie swej gorliwości zawsze dają powody.

Podobno chciano go za to na miejsce Baldwina zrobić królem Jerozolimy, lecz nie przyjął tego zaszczytu, co do reszty uwieńcza jego rycerski charakter. Takich to synów miała piękna Regina di mare! Dziś w niej.... bohaterów tylko w przeszłości trzeba szukać!

Kto nie widział kościoła świętego Marka, ten nie ma wyobrażenia o zbytku ozdób sztuki bizantyńskiej, greckiej i chrześcijańskiej jakie tam się znajdują. Sklepienia z mozajki, posadzki także z mozajki, wszędzie marmury, rzeźby, bronzy, malowidła, a niezmiernie bogaty złoty ołtarz zwany Pala d'oro, klejnotami olśniewa oczy. Przeszłość Wenecyi odbija się wyraźnie: widzimy tu zdobycie Konstantynopola, zkąd najbogatsze zabytki pochodzą, to znów wpływ stosunków z Grecyą, zamiłowanie do przepychu i okazałości właściwej signorze Rzeczypospolitej. Tyle tu znakomitych dzieł sztuki a bardziej bogactwa że wreszcie zapomina się że to jest kościół nie zaś muzeum. Nam przywykłym do poważnej architektury gotyków, i surowej prostoty przystroju kościołów, taka bazylika we wschodnie, jaskrawe i świetne przybrana szaty, nie robi wrażenia świątyni, zmuszając uwagę, do zatapiania się w tylu ciekawych szczegółach, do bujania wzrokiem i myślą wśród licznych kopuł lśniących mozajką.

Santa Maria della Salute, zepsuty styl grzeszący brakiem harmonji i prostoty, zawdzięcza swojemu położeniu tuż nad morzem, z którego zdaje się co ranek cudem wynurzać w blaskach słonecznych przy tajemniczej i głębokiej muzyce dzwonów, że jest zwykle przedmiotem zachwytu cudzoziemców. Kościół Jezuitów, świetny, strojny, wyświeżony, zdobny szarym marmurem i pąsowemi draperyami, prawdziwy *barocco*, czyni silne wrażenie... pięknego teatru. Najpiękniejszym wedle mnie, jest kościół *Frazi*, poważny, wspaniały, z oryginalnem mauzoleum Canovy i Tycyana.

Pierwsze jest pomysłu samego mistrza, i godny też dla siebie obmyślił pomnik, lubo zapewne bez wiedzy, że mu jako mauzoleum służyć będzie. Ponieważ tutejsze kościoły są niby galeryami zapełnionemi mnóstwem dzieł znakomitych artystów, wprzód jeszcze nim wybrałyśmy się do akademji sztuk pięknych, zwiedziłyśmy je starannie. Jużto nasze poczucie piękna i zamiłowanie artyzmu może się tu rozwijać swobodnie. Świat ten uroczy tutaj tak dostępny! I doprawdy, nie darmo przed naszemi oczyma jawią się potęgi pomysłów i umiejętność wykonania: — arcydzieła szkoły Weneckiej, począwszy od jej założyciela Palmy, zwanego *starym*, skończywszy na Tiepolo ostatnim malarzu XVIII wieku, który zamknął i to dosyć niefortunnie, epokę świetną w rozwoju sztuki w Wenecyi, żadne wybitniejsze dzieło nie uszło naszej skwapliwej uwagi. Prześcignęłyśmy nawet w skrupulatności Anglików, którzy sumiennie z roztwartym Bedekerem w ręku drepczą od numeru do numeru póki nie przejdą całej galeryi. Ba! gdyż wracałyśmy po kilkakroć, dopókiśmy się nieledwie nie nauczyły jej na pamięć. Czyniło nas to napozór jeszcze śmieszniejszemi od Anglików, ale w duszy gromadzi się zapas wiadomości z dziedziny sztuki, które może kiedy zdadzą się i czytelnikom naszym.

Pozwólcie jednak, że to coby choć w krótkości powiedzieć trzeba w obec ojczyzny tej słynnej szkoły, która w historyi malarstwa tak poważne zajmuje miejsce — odniosę aż do przyszłej seryi notatek z Florencyi i Rzymu. Tam, porównania łatwiej się nasuną przy bogactwie zbiorów ze szkół różnorodnych; tutaj, choć wiele czasu poświęciłyśmy takim studyom, nie nadużyjemy cierpliwości Czytelniczek, którem pewnie lepiej się spodoba przejażdżka po wielkim kanale. Płyńmy więc znowu.....

Wyobraźcie sobie noc cichą, miarowy szelest wody niepokojonej wiosłem, w którym zda się słyszyć, jakąś pieśń bez słów, w rodzaju natchnień Mendelsohna... przed nami ponte Rialto na jednej arkadzie zawieszonej niby w powietrzu, jak łuk olbrzyma, migający światełkami; chwila jedna, i znajdujemy się pod jego sklepieniem; nagła wrzawa i łoskot zrazu niepojęty, wyrywa nas z marzącej zadumy. Lecz już minęliśmy most będący punktem zbornym wszystkich handlarzy, krzykaczy najhałaśliwszych, przy których nasi uliczni przemysłowcy byliby uważani za niemych: szereg pysznych pałaców znikł nam z oczu, krążymy między ponuremi zaułkami mniejszych kanałów... oto barka przybiła do kamiennych stopni, i kilku lazzaronów kręci się koło liny przymocowując ją, w nadziei wysłużenia datku na wino. Wchodzimy po stopniach kilku na maleńki placyk przed budynkiem, którego z powodu braku miejsca obejrzyć dokładnie niepodobna: wkraczamy tedy do wnętrza dość skromnego, przez kurytarze brudne i zaniedbane, i oto zasiadamy w loży teatru *della Fenice*, około godziny 10-tej, gdyż tu widowiska rozpoczynają się tak późno. Gdzieżeś o niemiecka praktyczności!

Sala teatru wcale ładna; oświetlenie *a giorno*, gorąco piekielne, gwar rozmowy nieustający, a opera przekładana sążnistym baletem aż do znudzenia — oto charakterystyka włoskiego teatru. Artyści śpiewali dobrze, ale publiczność zdaje się chodzić do teatru we wszystkich innych celach, byle nie słuchania opery. Jedni rozprawiają głośno, śmieją się, inni śpiewają sobie bez ceremonji razem z artystami, a gdy jaki silniejszy ton lub passaż przypadnie im do gustu, nim go artysta zdoła do końca wykonać, wrzeszczą: *brawo!* odrazu jawiąc swe zadowolnienie. Wrażliwość, ruchliwość natury południowców odbija się w takim sposobie zachowania się, co prawda niecierpliwiącym kogoś co chce słuchać muzyki i śpiewu.

Sezon oper zamykało właśnie to przedstawienie, lecz bywałyśmy często na komedyi i dramacie gdzie Rossi brat słynnego tragika znakomitą grą zwabiał licznych widzów. Między innemi, widzieliśmy „Juliana Apostatę," pyszny przedmiot, nędznie obrobiony a dobrze odegrany. Włosi mają wrodzoną łatwość ruchów, zmiany twarzy, wyrazu oczu i modulacyi głosu; a jak umieją nosić chlamydę i koturny! Mimo, że jak wspominałam, dramat był słaby, wrażenie gry podnosiło sztukę.

Lecz trzeba pożegnać na teraz piękną Wenecyę; ciekawa droga, jej cele, zmniejsza mój żal rozstawania się z tem fantastycznem miastem, którego wdzięki, oryginalność i przepych zewnętrzny, zadziwiają i nęcą — a pewien urok romantyczny, bohaterski, jedna sympatję wyłączną dla wspaniałej zawsze *Regina di mare.*

KORESPONDENCYE ZAGRANICZNE.

z Krakowa.

Tak jakoś się rzeczy zbiegły że dziś o samych prawie śmierciach pisać mi przychodzi.

I tak, w d. 13 b. m. we wszystkich tutejszych świątyniach odbyło się żałobne nabożeństwo za duszę ś. p. cesarza Ferdynanda. W kościele P. Maryi sumę celebrował X. biskup Gałecki. Około katafalka płonęła niezliczona liczba świec, a na trumnie leżała korona. Pobożni więc ludzie tłumnie napełnili kościół zasełając szczere modły za duszę monarchy, który tak dobre po sobie zostawił wspomnienie. Podobne nabożeństwa odbyły się we wszystkich kościołach.

Tak więc groby Habsburgów w kościele XX. Kapucynów otworzyły się na przyjęcie 107 trumny potomka tego rodu. W najstarszej trumnie spoczywają zwłoki cesarzowej Anny, żony cesarza Macieja, zmarłej 15 grudnia 1618 r. Tu także spoczywa Ks. Reichstadt, syn Napoleona I. Ostatnia trumna zawiera zwłoki ś. p. cesarza Ferdynanda. Oprócz 107 trumien zmarłych z rodu Habsburgów, jest jedna jeszcze, jedyna nie należąca do członków domu cesarskiego, hrabiny Karoliny Fuchs, z domu Molart; była ona ochmistrzynią cesarzowej Maryi Teresy, zmarła w roku 1754, a cesarzowa w dowód szczególniejszej łaski i wdzięczności, kazała pochować w swoich grobach rodzinnych. Zmarły cesarz miał podobno ogromny zostawić majątek, który spada głównie na cesarza Franciszka-Józefa, porobił jednak znaczne zapisy na pobożne i miłosierne instytucye.

D. 2 czerwca zakończył tu życie po długich cierpieniach Józef Kremer, profesor filozofii przy uniwersytecie Jagielońskim, członek czynny i dyrektor oddziału historyczno-filozoficznego w Akademji Umiejętności. Ś. p. Kremer urodził się w Krakowie w r. 1806. Skończywszy nauki w uniwersytecie krakowskim po uzyskaniu stopnia doktora prawa, udał się na dalsze nauki do Berlina, Hejdelberga i Paryża.

Uniwersytet berliński był wówczas najpierwszym w całych Niemczech i posiadał bardzo wielu znakomitych profesorów. Tu Kremer obznajmił się z systematem Hegla, i stał się wielkim jego zwolennikiem. Z Berlina udał się do Hejdelberga a ztamtąd do Paryża, gdzie słuchał wykładów Guizot'a, Villemain'a, Cuviera i innych ówczesnych francuzkich znakomitości.

Przy samym końcu roku 1831 osiadł stale w rodzinnym Krakowie i oddał się wychowaniu młodzieży. Zakład jego naukowy wkrótce zasłynął głośno; najznakomitsze rodziny powierzały mu synów swoich.

W latach 1835 i 1836 zaczął drukować pierwsze swoje prace filozoficzne. W kwartalniku naukowym wyszły z kolei: 1. Zasady logiki, 2° Zasady filozofji natury; 3° Zasady antropologji, 4° Zasady fenomelogji, jako praca obszerniejszych rozmiarów została drukowana osobno. Wszystkie te cztery rozprawy są wykładem filozofji Hegla; pisząc je Kremer pragnął zbudzić w rodakach uśpiony zmysł filozofji i dokonał zamierzonego celu.

Gdy w r. 1847 zawakowała w uniwersytecie krakowskim (po Jankowskim) katedra filozofji, powołano na zastępcę Kremera. Zaraz w r. 1849 ogłosił drukiem pierwszy tom obszernej filozoficznej pracy, która łącznie z drugim tomem wydanym w trzy lata później, stanowi systematyczny wykład filozofji i obejmuje w skróceniu wszystkie jej części; w pierwszym tomie fenomenologię i logikę, w drugim filozofiją natury i filozofiją ducha. Oprócz zwykłej Kremerowi czystości, jasności i piękności języka, i tę wielką w nim położył zasługę, iż wytworzył prawdziwie polską terminologiję filozoficzną.

Podstawą i punktem wyjścia filozoficznych badań Kremera jest filozofija Hegla, i jest to koniecznym niemal wynikiem wszechwładnego wpływu, jaki wówczas marzyciel ten niemiecki wywierał na ustrój umysłowości europejskiej. Mimo to jednak Kremer umiał odznaczyć się odrębną, właściwą sobie cechą charakterystyczną, nie poprzestał na systemacie Hegla i posunął się dalej w duchu swojskiej myśli i przeszłości. U Hegla szczytem myśli jest idea bezwzględna, nazywa on ją istotą i przyczyną absolutną wszech-rzeczy, uważając świat cały za nieustające dyalektyczne przejawianie się tychże idei, kiedy przeciwnie polski myśliciel postawił na szczycie filozoficznego na świat poglądu, bezwzględną osobistość, chrześcijańskiego Boga. Jak widzimy metoda jest Heglowska, ale wynik sprzeciwia się duchowi tej filozofji, jest oryginalny, ugruntowany w charakterze myśli polskiej, która nigdy nie zadawalniała i nie jest zdolną zadowolnić się panteizmem.

W r. 1850 Kremer zostawszy mianowany zwyczajnym profesorem filozofji, podniósł tę naukę z zupełnego upadku, gdyż umiał zająć młodzież świetnym wykładem doskonale zastosowanym.

Nie poprzestając na pracach dokonanych w dziedzinie filozofii, niezmordowany myśliciel odznaczył się jeszcze na polu estetyki i historyi sztuki. Któż nie zna niezrównanych jego listów z Krakowa, których pierwszy tom wydany w r. 1845 obejmuje ogólne zasady estetyki, a dwa następne wyszłe z druku 1855 r. opisują rozwój i dzieje twórczej, artystycznej fantazyi. Dzieło to wielkiej wartości zjednało Kremerowi wielką sławę, odtąd stał się ulubionym autorem inteligentnych i myślących warstw społeczeństwa naszego. W „Listach z Krakowa“ Kremer opiera się głównie na filozoficznych zasadach Hegla, nie uważa jednak sztuki oderwanie, lecz bada jej rozwój w związku z ogólnem umysłowem życiem narodów, uważając ją za jedną z najważniejszych stron ich duchowej działalności.

Najobszerniejszem dziełem Kremera jest jego „Podróż do Włoch“ tomów pięć, wydane w Wilnie w ciągu lat pięciu od 1859 do 1864 r. Dzieło to zalicza się do zakresu estetyki. Kremer przedsiewziął tę podróż głównie dla tego, aby opierając się na zabytkach sztuki oglądanych we Włoszech, skreślić historyę sztuki starożytnej chrześcijańskiej. Podróż ta jest jakby dalszym ciągiem „Listów z Krakowa“; dorzuciła ona nowe gałązki lauru do wieńca sławy jaka opromieniała już znakomitego myśliciela. Niezmordowany pracownik, w r. 1868 wydał znowu „Grecyę starożytną.“ Celem tego dzieła było obznajmienie młodzieży akademickiej uczęszczającej na kursa historyi i filologji oraz młodych artystów, z duchowem życiem starożytnej Grecyi, i przedstawić im charakterystyczne cechy sztuki greckiej.

Już po roku 1860 poglądy filozoficzne Kremera znacznie się zmieniły. Bystry i głęboki umysł jego dostrzegł niedostateczność filozoficznej metody Hegla, która już wtedy z wynikami własnych jego zasad i poglądów filozoficznych pogodzić się nie mogła — to też powoli przechylił się ku idealno-realnemu kierunkowi, którego przedstawicielem w Niemczech jest dotąd młodszy Fichte. Kierunek ten usuwając niedostatki metody Hegla, z jednej strony stara się wejść w związek z naukami opartemi na doświadczeniu i na nich się opiera, z drugiej znowu pragnie utrzymać i uzasadniać filozoficznie te idealne skarby ducha ludzkiego, jakiemi jest wiara w osobistego Boga, nieśmiertelność duszy i t. d. Taki kierunek musiał najlepiej odpowiadać wewnętrznemu usposobieniu Kremera, a pierwszy ślad tego zwrotu w jego pojęciach filozoficznych objawił się w rozprawie jego drukowanej w „Biblijotece Warszawskiej“ r. 1867, p. t. „Najcelniejsze filozoficzne nauki o duszy, przed sądem krytycznym obecnej filozofji.“ Rozprawa ta walczy zawzięcie z panteistycznemi i materyalistycznemi zasadami naszych czasów. *(d. n.)*

Ze Lwowa.

Oddawna zaczęło się u nas rozpowszechniać przekonanie, że jednym z głównych powodów powolnego postępu pracy społecznej jest instynkt anarchiczny, który nie znosi żadnej powagi, i ludzi najzasłużeńszych, najdzielniejszych strąca z zajmowanego stanowiska jedynie dla tego, że się wzbili za wysoko po nad innych zasługami lub podobieństwem. Wprawdzie człowiek prawdziwie niepospolity, pełen twórczej samodzielności musi w każdym kraju walczyć z licznym zastępem przeciwników, jeżeli uzyskana władza pozwoli mu nadać swoim pomysłom żywotne kształty i wytykać społeczeństwu nowe kierunki, ale u nas opozycya taka przekraczała zbyt prędko godziwą miarę, i jeżeli wstępnym bojem nie zdołała obalić upatrzonej ofiary, starała się zniechęcić ją nieustannemi napaściami, często nawet systematyczną potwarzą. To też z prawdziwą przyjemnością, bo na chlubę Galicyi zapisuję dziś na wstępie fakt dowodzący, że znacznie mniej ulegamy dziś temu narowowi tradycyjnemu, że prawdziwej zasłudze oddajemy hołd należny a zasłużonych mężów umiemy cenić i szanować. Faktem tym jest obecna ciężka choroba Namiestnika naszego hr. Agenora Gołuchowskiego i objawy kraju towarzyszące temu wypadkowi. Gdy w połowie czerwca przedwczesny alarm lwowskich lekarzy zaniepokoił stolicę i kraj cały wiadomością, że choroba Namiestnika jest stanowczo nieuleczoną, ludzie najobojętniejsi dla spraw publicznych przejęci byli żalem, trwogą, prawie popłochem. Wszędzie pytano kto zajmie godnie miejsce po hr. Gołuchowskim i wszędzie odpowiadano rozpaczliwie, że kraj w tej chwili nie posiada równego jemu kandydata. Gdy w kilka tygodni później cesarz boleśnie dotknięty chorobą Namiestnika zaszczycanego przez siebie najwyższą sympatyą i nieograniczonem zaufaniem, wysłał do Lwowa własnego lekarza a ten zakwestyonował zdanie lwowskich lekarzy i pokrzepił nadzieją, że hrabia Gołuchowski jeszcze będzie mógł piastować swoją posadę, radość powszechna zapanowała w całym kraju.

Trzeba bowiem wiedzieć, że czem dziś jest rodzina hr. Gołuchowskich w Galicyi, wszystko to jest dziełem Namiestnika, który wstąpiwszy do służby rządowej jako skromny i cichy praktykant, zasługami i zdolnościami wzbił się na najwyższy szczebel hierarchii urzędowej i społecznej. Oby mąż ten mógł jeszcze długo zostać między nami. W chwili gdy to piszę stan jego choroby jest rozpaczliwy i budzi wielką obawę.

Mieliśmy w tym miesiącu dwa ważne zjazdy: zjazd towarzystwa pedagogicznego w Stanisławowie i zjazd przyrodników i lekarzy we Lwowie.

Stanisławów, na którego w tym roku padł zaszczyt przyjmowania pedagogów, świetnie odpowiedział roli

gospodarza i w pamięci wszystkich uczestników zjazdu nader przyjemne pozostawił wspomnienie. Stanisławów, dwudziesto-tysiączne prowincyonalne miasteczko, jest zachęcającym przykładem, ile dobrego zdziałać może na polu publicznem wytrwałość i gorliwość obywatelska jednego człowieka. Przed kilkunastu laty Stanisławów był miasteczkiem nie pokaźnem, nieczystem, zamieszkanem przeważnie przez ludność żydowską. Gdy w r. 1869 wielki pożar nawiedził miasto, nikt ognia nie mógł stłumić, bo w spruchniałych domkach i zbutwiałych dachach znalazł on wyborny materyał. Zdawało się, że Stanisławów po tym okropnym pożarze spadnie do rzędu lichych mieścin, tymczasem burmistrz jego zacny dr. Kamiński, nie zrozpaczył po wielkiej klęsce i pracował za wszystkich. Dzięki jego osobistej zabiegliwości, powiodło się gminie zaciągnąć milijonową pożyczkę pod korzystnemi warunkami, a roztropnie użyte fundusze zmieniły miasto do niepoznania. Dziś Stanisławów zajmuje trzecie lub czwarte miejsce w rzędzie miast galicyjskich, a kto po raz pierwszy wjedzie w jego mury dozna bardzo miłej niespodzianki. Miasto posiada dość bruku, kilka dobrze zbudowanych placów, kilka wspaniałych kamienic przeznaczonych w znacznej części na zakłady szkolne i cały szereg schludnych blachą pokrytych domów. Co więcej; Stanisławów posiada już oświetlenie gazowe, a ta okoliczność pozwala mu skutecznie współzawodniczyć z Tarnowem, któremu mimo braku i oświetlenia gazowego większość przyznaje pierwsze miejsce po Lwowie i Krakowie. Stanisławów czuje to dobrze, że zrobił znakomity postęp, stara się utrzymać u siebie dwa pisma dwutygodniowe treści politycznej i nazywa siebie dumnie stolicą Pokucia. Za obszernie może i w niestosownem miejscu rozpisałem się o Stanisławowie, ale wzmianka ta była niezbędną ażeby zrozumieć, dla czego Stanisławów witał członków zjazdu pedagogicznego z okazałością nadzwyczajną. Chciał tem przyjęciem raz na zawsze utrwalić swoją reputacyę i dla tego nie żałował żadnych wydatków, aby przybrać fizyognomiję niezwykłą, uroczystą w całem tego słowa znaczeniu.

Może niejeden uczestnik zjazdu pedagogicznego zarzuci Stanisławowowi pretensyonalność z powodu za wielkiej liczby chorągwi, bram tryumfalnych, strzałów moździerzowych i t. d. ale choć nie jesteśmy zwolennikami takich owacyj doprowadzanych do przesady, chętnie bierzemy poczciwy Stanisławów w obronę w tym wypadku. Taki sposób przyjmowania gości praktykowany w Niemczech przy lada jakiej sposobności ma tę niezawodną zaletę, że zwraca uwagę gnuśnego i ospałego ogółu na samą sprawę, o której w przeciwnym razie może wcale nie wiedziałby. *(d. n).*

Maurycy Jokái.

Szkic biograficzny

przez A. Callier.

(Ciąg dalszy.)

Pan Tadeusz był olśniony i od tej chwili nie było dlań droższego, ukochańszego na świecie człowieka jak ten siostrzeniec archeolog. Obaj przeszukiwali ruiny podczas księżycowych nocy, wśród łoskotu walących się kamieni, przy akompaniamencie hukania puhaczy. I cóż nad to naturalniejszego, że nasz Baudi zwykle po każdem takiem ważniejszem odkryciu umiał tak zmiękczyć twarde serce wujaszka, że go z jakiego dławiącego długu oswobadzał.

Innym znów razem popisał Baudi z własnej imaginacyi wszelkiego rodzaju autografy, które następnie pokazywał wujowi jako listy Napoleona, Washingtona, Franklina lub Maryi Stuart, które stary mozolnie litera po literze przepisywał, płacąc jeszcze hojnie za pozwolenie przepisania.

Tym to sposobem nieznacznie został Baudi rzeczywistym spadkobiercą starego skąpca.

Pewnego dnia rzucił mi się namiętnie na szyję prosząc bym go portretował.

— Ależ dziecko z ciebie; toż ja zrobię straszliwą maszkarę z twojej twarzy!

— Takiej mi właśnie potrzeba.

— Nikomu nie przyjdzie nawet na myśl, że to ma być twój portret.

— Tem więcej będę z niego zadowolnionym.

— A potem po tygodniu zrobi się z tego malowidła straszliwa bazgranina rococo, każda farba zamieni się w kolor zielony, bo w naszem miasteczku oprócz pokostu, nie dostaniesz żadnego innego oleju.

— Im zieleńszy tem lepszy będzie właśnie!

— Ależ i farby poodpadają skoro tylko słońce przygrzeje. Moje obrazy należy tylko w ciemności oglądać.

Dość że nie dał mi spokoju, musiałem zrobić jego portret. A jak niezmiernie uchwyciłem podobieństwo najlepiej dowodzi, że zaledwie doczekał wyschnięcia obrazu by go co najprędzej sprzedać wujowi jako wizerunek Attyli *„flagellum Dei!“*

Wreszcie umarł starowina a wszystkie jego skarby poszły na śmietnisko. Niektóre z nich jednak omal że się nie stały krwawemi. I tak w pantofelku Kleopatry poznał pan sędzia Maciej Beksza, ranne obuwie własnej swej młodej małżonki. Niemniej też jakiś okoliczny obywatel zdumionym był, gdy w fartuchu Ajeszy i rannym czepeczku, poznał zgnioną w zagadkowy sposób własność swej połowicy.

Ci, co znali bliżej Baudi'ego łatwo zrozumieją, jaką drogą wyż wymienione przedmioty dostały się do zbioru starożytności.

Prostota i oryginalność opowiadania w tych nowellach podniesioną jest jeszcze urokiem tła na którem się rozwijają. Dziwacznež to bo tło to społeczeństwo węgierskie, zwłaszcza ci węgierscy magnaci dumni nad wyraz, a butni, a fantastyczni w swych wybrykach jak ich przodkowie owi Hunni, co to by pochować swego wodza odwracali rzeki koryto i grób mu w zimnych jej nurtach kopali. Nieodrodne to ich potomki, mimo polor europejski jest w nich żyłka zamiłowania do wszystkiego co fantastyczne, co dziwaczne, co niezwykłe. I tak w jednej z takich nowelek, bogaty magnat, istny udzielny książę w swym kraiku, ustanawia wyścigi konne dla swych poddanych raz na rok; zwycięzcy na tych wyścigach przysługuje przez rok cały dziwaczny przywilej upijania się na koszt dziedzica, rozbijania wszystkiego co mu w takim razie wpadnie w rękę, wypasania końmi swemi pastwisk innych włościan i w ogóle życia bez pracy. Na takich to wyścigach obcy jakiś *betyár* zyskuje palmę pierwszeństwa, jest młody, przystojny, a że nieznany, przychodzi obfitemu w dzikie fantazye magnatowi pomysł do głowy, by go na czas pewien wykierować na równego przyjaciołom swym magnata; przebiera go w kosztowne suknie, napełnia mu kieszenie pieniędzmi, sam uczy manier nie zbyt różnych od manier *betyár'ów* i z góry się już cieszy jak przyjaciele jego przez rok cały uważać będą pastucha za równego sobie, jak go będą ściskać, poić, jak się w nim będą kochały piękne panny i panie i jak po upływie umówionego rocznego terminu, tenże sam człowiek będzie tymże paniom otwierał drzwiczki pojazdu w liberyi jego hajduka i półmiski roznosił u stołu. I szalenie cieszy się magnat ze swego pomysłu: wiezie wychowańca swego do stolicy i prawi o jego rodzie, dobrach, sam go forytuje jako konkurenta do bogatych dziedziczek i z radością widzi jego powodzenie. Nadchodzi dzień, w którym ma się skończyć komedya, a zacząć prawdziwa dla magnata uciecha; szlachcic ma powrócić do roli hajduka; jaśnie pan o oznaczonej godzinie przemawia doń całkiem różnym tonem niż poprzednio, woła by mu podał ognia do fajki — nad podziw przecież *betyár* ani myśli ruszyć się z miejsca.

— Jakto czyś ty zapomniał, że dziś kończy się twe panowanie, że od dziś jesteś moim hajdukiem? woła magnat.

— Któżby mi kazał, odpowiada spokojnie betyár, jestem bogatym, mam dobra i szlachectwo.

— Jakto? woła zdumiony starzec i aż klaszcze w ręce z podziwu. Jakim sposobem?

— Bardzo prostym. Pan dawałeś mi na grę miesięcznie znaczną sumę, ja grałem ostrożnie i szczęśliwie, następnie nabyłem za bezcen dobra X. wystawione na subhastę i jestem dziś bogatym.

— A szlachectwo? Toż nie było tak łatwe.

— Jeszcze łatwiejsze; wyjechałem do jednego z odleglejszych komitatów, gdzie była drobna szlachta mego nazwiska i ogłosiłem, że temu co się do mnie przyzna dam tysiąc guldenów. W mig miałem kilkanaście dyplomów do wyboru, oczywiście wybrałem najstarszy i ot jestem szlachcicem.

Magnat kładł się od śmiechu.

— Nie, mój koncept był dobry ale twój, jak Boga kocham, lepszy!!!

W innej znów bezdzietny stryj zapisuje swój majątek tej z trzech siostrzenic, którą sąd uzna za najpiękniejszą.

Przez lat pięćdziesiąt toczy się proces, w którym adwokaci silą się dowieść dwóm przeciwniczkom, że ich wdzięki są fałszem i sztuką; lata mijają, kobiety starzeją się tak, że proces staje się istną farsą, istną ironią bo należałoby już odwrócić wprost pytanie: która jest najbrzydszą? Żadna z nich nie idzie za mąż w oczekiwaniu końca procesu, którego koszta pochłaniają wreszcie całą spuściznę.

Owdzie znów dziwak magnat, ze swego domu robi szpital waryatów i warunkiem testamentu zmusza następcę lub nabywcę do utrzymywania nadal tego zbioru.

Wśród tego niebrak i rzewnych opowiadań, których prostota mimowiednie łzy ci czytelniku, sprowadzi do oczów. O! bo Jokái umie grać na duszach czytelników i mimo niektóre wady jego powieści jak: zbytnie gonienie za efektownemi sytuacyami lub nagromadzania zbyt wielu faktów, miewa każda jego powieść ustępy dziwnie rozrzewniające, kryształowo czysto i proste myśli, co płaczą i łzy wyciskają.

Nowellami więc rozpoczął nasz autor swój debiut na arenie powieścio-pisarskiej. Praca ta nocy wszakże nie przeszkodziła mu w pilnem studyowaniu prawa. Maurycy Jokái otrzymał dyplom adwokacki, z którego nie korzystał; natomiast wmieszał się do założonego podówczas przez Petöfiego klubu „Młodych Węgier,“ i tu rozwijał swą gorliwą działalność.

Tymczasem adwokat Mólnár, w którego biurze pracował spostrzegł, że młodego człowieka mniej zajmowała obowiązkowa praca niż uboczne jakieś zajęcie: jakie? tego nie wiedział. Zabrał się więc do przejrzenia jego papierów; repliki zebrał i rzucił w ogień jako niepotrzebne, nowelle zaś oddał jednemu z nakładców i tym sposobem w r. 1846 ukazał się pierwszy zbiorek nowell Jokái'a.

Nadeszły dni marcowe, Jokái wziął w nich czynny udział. W tym też czasie ożenił się ze słynną artystką tragiczną, Różą Laborsalwi (Benke).

Wraz z węgierskim rządem, którego Debreczyn był siedliskiem, udał się Jokái do tegoż miasta i wydawał tu pismo *Esti Lapok* (Listki wieczorne), w którem występował przeciw złożeniu z tronu Habsburgów: pośpiech ten bowiem uważał za najpewniejszy środek ściągnienia obcej interwencyi. Przewidywania jego ziściły się. Poeta nasz wówczas schronił się do Vilagos, gdzie 28 sierpnia 1849 r. nastąpiło złożenie broni. Tam spotkał się z ministrem Csányi i jenerałem Kiss, których obu ukarano śmiercią, jak wiadomo, oraz z dawniejszym swoim pryncypałem Józefem Molnár. Zebrani radzili właśnie nad tem czy można się odważyć na dobrowolne zdanie się na łaskę Austryi, która prawdopodobnie przywódzców śmiercią ukarze. Molnár oświadczył, że zna jedno tylko wyjście—zewsząd pytano go jakie? — w odpowiedzi wyszedł do drugiego pokoju i odebrał sobie życie wystrzałem z pistoletu.

Jokái miał właśnie toż samo uczynić, gdy wbiegł do pokoju jeden z przyjaciół jego z wiadomością, że żona poety przybyła z Pesztu do Gyula i tam oczekiwała w trwodze na męża. Pieszo udał się Jokái dziesięć mil drogi do żony, która go nakłoniła do ucieczki w głąb lasów, gdzie go ukryła w chacie wieśniaczej, sama zaś powróciła pieszo do Pesztu, o 24 mil odległego, aby sprzedać klejnoty i meble celem zapewnienia sobie środków do życia.

Tymczasem Komarno kapitulowało a jednemu z żołnierzy, bratu dramaturga Scigligeti przyszło na myśl umieścić imię Jokái'a na liście oficerów Honwedów, którym przysługiwał przywilej ułaskawienia. Otrzymane tym sposobem ułaskawienie przesłał pani Jokái i tak uratował Węgrom przyszłego ich największego poetę.

Jokái powrócił do Pesztu 1850 r.

Nie było tam wówczas ani życia politycznego ani nawet węgierskiej literatury. Wszyscy jej przedstawiciele rozwiani zostali wichrem losu. Petöfi legł na polu walki, ciała jego nawet nie odnaleziono; hrabia Scécsengi był w domu obłąkanych; Kossut emigrował do Turcyi, zkąd wzdłuż i wszerz zbiegł Europę i Amerykę rozwodząc swe żale; baron Wesselényi nie żył; Deak był politycznie umarłym; baron Jósika nie śmiał jeszcze z Bruxelli pisać pod własnem nazwiskiem; baron Eötwös ślęczał nad kwestyą równouprawnienia narodów; Arany ukrył się jako notaryusz w swem rodzinnem mieście; hrabia Józef Teleky zbierał materyały do dziesięcio-tomowej swej „Historyi Hunyadów"; Szalay pracował nad swemi „Dziejami Węgier", a biskup Horwáth nad ostatnim ćwierć-wiekiem historyi swego kraju.

Peszteńska Akademija aż po rok 1860 pozostała zamkniętą i nie wolno jej było mianować nowych członków — nawet w teatrze dozwolono tylko przedstawiać włoskie opery.

W tej to dekadzie zupełnej stagnacyi, biernego oporu, szczęściem tylko jeden Jokái pozostał bezustannie czynnym i twórczym; on podtrzymywał upadającego ducha narodu, upadającą jego literaturę aż do dni lepszych. W przeciągu lat dwudziestu wydał 140 tomów, w liczbie których dwadzieścia trzy większych rozmiarów powieści, siedm dramatów, i 314 nowell, a dzieła te w maleńkim, ledwie sześcio-milijonym narodzie Madjarów rozeszły się w 513,000 tomach i przyniosły autorowi sta tysięcy złotych reńskich honorarium! Nie dawno temu pisał on w tej mierze do jednego ze swych przyjaciół w Niemczech:

„Nie mogę być niemieckim pisarzem, naprzód dla tego, że znam dobrze różnicę jaka zachodzi między *pisaniem* a *tworzeniem* niemieckiem: powtóre dla tego, że kocham tak bardzo mój biedny naród, iż służyłem mu wtedy nawet gdy mnie darzył suchym chlebem a siepacze jego chłostą; dziś zaś nie potrzebuję się zastawiać patryotyzmem, bo węgierska publiczność od dawna wynagradza mnie tak świetnie jak rzadko który naród wyposaża swoich pisarzy."

To powodzenie, jakkolwiek zasłużone, ale tak bajeczne, jest najlepszym dowodem, że węgierska literatura nie jest bynajmniej sztuczną jakąś egzotyczną rośliną, chodowaną przez próżność narodową, ale prawdziwym objawem potrzeb kraju, pełnego organicznego życia, zakorzenionym w jego samowiedzy. Inaczej nie dałoby się wytłomaczyć rozchwytanie w lot pół milijona tomów jednego pisarza, obok którego tak wielu innych jeszcze cieszy się popularnością jak np. baron Podmaniczki, baron Kemény, Szatmary, Gyulay, Vas Gereben, Abonyi, Krassay, pani Vachot etc. etc.

W roku 1863 założył Jokái wielki dziennik polityczny *Hon* (Kraj), którego po dziś dzień jest właścicielem i redaktorem. Hon jest organem lewicy w sejmie państwowym i najwięcej w Węgrzech rozpowszechnionym dziennikiem, liczy bowiem 6,000 abonentów; w czasie ostatniej wojny francuzko-pruskiej wystąpił jego redaktor bardzo jawnie z sympatyami swemi dla Prus, za co liczne spotykały go napaści od rodaków zapatrujących się wprost inaczej na tę kwestyą. Mimo to nie zmniejszył mąż polityczny popularności ulubionego pisarza, i dziś jak dawniej każda jego powieść witaną jest z entuzyazmem.

(d. n.).

Ze szkiców życia żołnierskiego,

EDMUNDA DE AMICIS.

(Przekład z oryginału włoskiego.)

Carmela.

(dokończenie).

VIII.

Nazajutrz porucznik wybrał się zawczasu do mieszkania lekarza. Zaledwie go ten zobaczył, odgadł z jego zmienionej twarzy i poczerwieniałych oczu, że przychodzi szukać porady i otuchy. Począł tedy prawić mu o obowiązkach i o godnościach człowieka, usiłując podniecić jego miłość własną i znaleść w niej skuteczny bodziec przeciw sile dziwnego uczucia, którego biedny młodzieniec był pastwą. Ale choć ten ostatni zdawał się słuchać z uwagą, nie więcej go rozumiał, jak Carmela gdy co do niej mówiono. W tem znagła, ni ztąd ni zowąd, twarz mu się rozpogodziła i uderzając się w czoło, zawołał przerywając w najlepszem miejscu przemowę swego przyjaciela.

— Słuchaj, jest jeszcze jeden sposób. Że też pierwej o tem nie pomyślałem!

— Cóż ci znowu przyszło do głowy? — zapytał lekarz.

Porucznik nic nie odpowiedział, tylko usiadłszy przy stoliku, wziął kawałek papieru i pisać zaczął pośpiesznie. Skończywszy, odczytał głośno przyjacielowi list następujący:

„Panie poruczniku.

„Przystępując odrazu, bez długich przygotowań do interesu, jak to zwykle czynić pomiędzy sobą wojskowi, donoszę panu że znajduję się od miesiąca z moim oddziałem na wyspie ***, gdzie kwaterowałeś trzy lata temu. Poznałem tu młodą dziewczynę imieniem Carmela, obłąkaną od dwóch lat, i to podobno z miłości dla ciebie. O tem co się z nią stało po pana odjeździe, ani też o rodzaju jej obłędu, pisać nie mam potrzeby, gdyż jak słyszałem, donoszono ci ztąd o tem. Niedola tej młodej dziewczyny obudziła we mnie głębokie politowanie, i probowałem wszelkich środków uleczenia jej. Wywiadywałem się o twoje nawyknienia, ubierałem się jak ty, śpiewałem i grywałem na gitarze, udawałem miłość, mówiłem Carmeli o tobie — wszystko to na nic się nie zdało. Pozostaje mi wszelako jeden środek którego chcę użyć, ale potrzebuję do tego pańskiej pomocy; — nie chciej jej odmawiać, będzie to miłosierny uczynek który spełnisz. Oto o co chodzi. Powiadano mi, że jeden z najskuteczniejszych sposobów leczenia obłąkanych, polega na odtworzeniu im najdokładniej i w najdrobniejszych szczegółach, ważnego jakiego wypadku, który bezpośrednio poprzedził porę w którym zmysły postradali, lub też stał się powodem ich obłędu. Otóż zdaje mi się, że przedstawienie Carmeli chwili wyjazdu pana, mogłoby sprawić na niej pewne wrażenie. Zaciągałem tu w tym przedmiocie wiadomości od niektórych osób, ale mi tyle tylko umiano powiedzieć, że opuściłeś wyspę po wieczerzy odbytej w towarzystwie burmistrza i wielu innych osób. Bliższych zaś szczegółów dotyczących owej wieczerzy, oraz pańskiego wyjazdu nikt tu nie pamięta. Upraszam więc o udzielenie mi ich, a czynię to w zaufaniu że mi nie odmówisz przysługi, która może przywrócić do życia i do szczęścia istotę, w imieniu której o nią błagam. Napisz mi wszystko co tylko o tym dniu przypominasz sobie; wyświadcz mi to nieocenione dobrodziejstwo, a wdzięcznym ci za to będę przez całe życie."

— Cóż powiadasz o tym liście?—spytał porucznik po odczytaniu go.

— Myśl zaprawdę wyśmienita — odpowiedział lekarz, wysłuchawszy treści z największą uwagą. A czy wiesz jego nazwisko, w jakim pułku służy, i gdzie teraz kwateruje?

— Burmistrz opowiedział mi to wszystko.

— Czy sądzisz że ci odpisze?

— Nie wątpię o tem.

Odpisał w istocie niebawem. Był to list bardzo obszerny, zawierający wszystkie szczegóły, nawet najdrobniejsze dotyczące owego wieczoru. Ale piszący nie zamieścił tam żadnej uwagi, nic zgoła coby choć w najlżejszy sposób dotykało dziejów dawnej jego miłości; trzymał się ściśle tego o co go pytano, nie dawał ani odrobiny więcej nic; — nawet słowa litości dla Carmeli odszukać nie było można w tym liście, zajmującym całe ośm stronic. Z tej jednak tyle suchej odezwy, i może właśnie dla tego że tak suchą była, wnosić się godziło, że ten co ją kreślił czuł w sercu dotkliwą zgryzotę sumienia. Gdyby nie to, umiałby się zdobyć na udane choćby wyrazy żalu i współczucia. Kończąc, powiedziałby przecie: Mam nadzieję... i t. d. Ale tu nic podobnego. „Żegnam pana i uprzejmie pozdrawiam." Oto i wszystko, zaraz potem podpis.

IX.

Nie tracąc czasu, zabrali się zaraz porucznik z lekarzem do przygotowań koniecznych dla owej stanowczej prośby. Udali się do wszystkich osób, które im potrzebne były w tym razie, i z kolei w każdego zdołali wmówić, że nie wolno mu było usunąć się od miłosiernego uczynku, w którym Opatrzność

zdawała się przeznaczać mu udział. Miało to być jakby przedstawienie, potrzebujące najdokładniejszego wyuczenia się roli przez każdego z aktorów. Mieli je też oni porozpisywane, i przyrzekli starannie w pamięć je sobie wpoić. Gdy już ta część najtrudniejsza podjętej pracy została załatwioną, dwaj przyjaciele udali się do matki Carmeli i porozumieli się z nią, co do udziału jaki jej przypadał w scenie mającej się odegrać. Tu już mieli daleko mniej trudu; biedna staruszka wkładała wszystką dobrą wolę swoją w sprawę tak żywo ją obchodzącą, i dopomagała ich usiłowaniom starając się o ile mogła, przypomnieć sobie co tylko w związku być mogło z ową tak pamiętną dla niej chwilą.

Od dni kilku, Carmela niezdrową się czuła, i prawie się z domu nie wydalała. Oficer poszedł jej poszukać z lekarzem. Siedziała przy drzwiach o ścianę oparta. Skoro ich ujrzała, podniosła się i zbliżyła do porucznika, mniej żywym jednak ruchem niż to zwykła była czynić, i poczęła go witać najczulej ale głosem wyraźnie osłabionym.

— Carmelo — rzekł do niej — przynoszę ci wiadomość.

— Wiadomość! wiadomość!... powtórzyła słodko, głaszcząc rękę oficera.

— Jutro odjeżdżam.

— Jutro odjeżdżam? powtórzyła znowu.

— Nie ty, ale ja. Oddalam się ztąd. Zabieram z sobą moich żołnierzy. Siądę na statek i odpłynę daleko, daleko!

To mówiąc, wyciągał rękę jakby wskazując odległe przestrzenie.

— Daleko, daleko... wyszeptała Carmela, patrząc w stronę, którą jej pokazywał porucznik.

Zdawała się być zamyślona przez chwilę, potem rzekła już z innym całkiem wyrazem w głosie i w twarzy:

— A! statek! ten co to dym z niego idzie!...

I śmiać się zaczęła, podskakując w około oficera.

— Na nic się wszystko nie zdało!—rzekł półgłosem potrząsając smutno głową.

— Nie jeden raz ale sto razy trzeba jej to powtórzyć — szepnął mu lekarz. Czekajmy co dalej będzie.

Wieczorem jednak pojawiła się swoim zwyczajem przed mieszkaniem porucznika, i przede drzwiami jego usiadła. Wracając do domu porucznik zabrał ją z sobą na górę, gdzie stosownie do rozkazów otrzymanych przez ordynansa, wszystko było porozrzucane, jak gdyby się naprawdę zabierano do wyjazdu. Na krzesłach i na stole pełno leżało bielizny, odzienia i książek, na środku pokoju widać było parę otwartych kuferków podróżnych, na wpół już napełnionych rzeczami przez pakującego gorliwie żołnierza.

Zobaczywszy cały ten nieład, Carmela okazała na razie pewne zdziwienie i spojrzała w oczy porucznikowi z uśmiechem.

— Widzisz, rzekł, przygotowuję się do wyjazdu.

Spojrzała powtórnie po pokoju, marszcząc brwi czego nigdy nie robiła. Porucznik pilnie śledził każde jej poruszenie.

— Odjeżdżam ztąd, wybieram się daleko; statek parowy mię zabierze...

— Odpłyniesz statkiem parowym?

— Tak jest... Jutro wieczorem.

— Jutro... wieczorem... — powtórzyła bezwiednie i spostrzegłszy gitarę leżącą na krześle, zbliżyła się do niej i poczęła palcami o struny potrącać.

— Czyż cię to nie smuci że odjeżdżam? — zapytał jej znowu. Czy ci nie przykro, że mię więcej nie zobaczysz?

Carmela popatrzała bystro na niego, potem spuściła głowę i oczy, jak gdyby w głębokiem zamyśleniu. Porucznik nic więcej nie dodał i począł półgłosem rozmawiać z żołnierzem, zajętym składaniem odzienia, pomagając mu w tej robocie.

Dziewczyna stojąc ciągle w jednem miejscu patrzała na nich w milczeniu. Po pewnym czasie porucznik zbliżył się do niej i rzekł:

— Idź sobie teraz Carmelo; dość długo tu byłaś już pora wracać do domu.

I wziąwszy ją za rękę, z lekka ku drzwiom pociągnął. Odwróciła się, wyciągnęła ku niemu ramiona:

— Nie chcę żebyś tu dłużej była, rzekł stanowczo. Idź sobie zaraz.

Carmela tupać zaczęła nogami z gniewem, potem znowu płakała, nazywała go najsłodszemi imionami, dotykała rąk jego ustami nie całując ich jakby to czyniła w roztargnieniu i myśląc o czemś innem; wreszcie odeszła wolnym krokiem, milcząca, posępna nie oglądając się wcale, z twarzą która nic nie wyrażała i dozwalała przypuszczać w jej głowie nawał myśli, lub też brak ich zupełny.

— Cóż to znowu znaczy? — zapytał siebie w duchu porucznik. Czy to zmiany jakiej nie zapowiada? Ach dałby to Bóg miłosierny! Kto wie?.. czekajmy nie traćmy nadziei.

Następnego dnia, nie wyszedł wcale z domu i nie chciał widzieć się z Carmelą, chociaż wiedział że siedziała u drzwi, jak to zwykła czynić codziennie. Godziny popołudniowe spędził na przygotowywaniu doświadczenia, mającego się odbyć wieczorem. Mieszkanie jego składało się z dwóch pokoi i z kuchenki. W największym kazał duży stół ustawić. Około dziewiątej, pojawił się nasamprzód lekarz.

— Ona tu jest na dole,—rzekł do przyjaciela, witając go,—żaliła mi się, że cię dotąd nie widziała. Zapytałem jej czy zdrowa? Popatrzała mi w oczy i w miejscu odpowiedzi, rzekła:—Statek parowy!—ale nie śmiała się gdy to mówiła. Ha! któż odgadnie co się tam kołata po tej biednej głowie? No, ale obejrzyjmy tym czasem tę wspaniałą zastawę.

Obeszli stół razem, oglądając co na nim było przyrządzone; potem poczęli się jeszcze naradzać co do środków jak najlepszego odegrania przygotowanego przez nich dramatu a może tragedyi.

Dochodziła już dziesiąta, gdy na schodach dały się słyszeć kroki wielu osób i głosy zmieszane.

— Otóż i oni! zawołał lekarz i zaczęli obadwa zapalać świeczniki na stole. Żołnierz tymczasem śpiesznie otwierał.

— Jakże mi serce bije gwałtownie! — rzekł półgłosem porucznik.

— Śmiało, przyjacielu, śmiało! Wszystko może od tego zależeć.

W tem głos Carmeli zawołał na dole: I ja także odpływam na statku parowym! I słychać było jak w ręce klaskała.

— Odwagi, na Boga! powtórzył jeszcze lekarz przyjacielowi; czy słyszałeś? Myśl ta zaczyna się wpijać w jej umysł; znak to wyborny; — otóż i twoi goście.

Właśnie już wchodził burmistrz z sędzią i resztą zaproszonych a gdy ich witał porucznik, lekarz szepnął coś służbowemu żołnierzowi, i ten wyszedł zaraz z pokoju. Po chwili, wrócił niepostrzeżony od nikogo, w towarzystwie Carmeli, i oboje przesunąwszy się chyłkiem po pod ścianą, weszli do sąsiedniej izby.

— Panowie! siadajmy do stołu — rzekł porucznik do swych gości.

Każdy zajął swoje miejsce; zrobił się gwar i posuwanie krzeseł, wśród którego nikt nie usłyszał głosu Carmeli, usiłującej wyjść z drugiego pokoju i wołającej:

— Przez cały dzień nie widziałam go ani na chwilę!

Otworzyła potem drzwi i chciała dostać się do porucznika, ale ją powstrzymał ordynans i stosownie do otrzymanego zlecenia, posadził na krześle przy drzwiach tyle uchylonych, że widzieć mogła co się działo przy stole. Nikt z biesiadujących nie zwrócił na nią uwagi; ona też spokojnie i cicho się zachowywała.

Rozmowa ożywiała się coraz bardziej, przy pomocy obficie zastawionej wieczerzy i wina, którem gościnnie szafował gospodarz. Z wyjątkiem jego i lekarza, wszyscy smacznie zajadali i wesoło pomiędzy sobą gwarzyli. Wychwalano karność żołnierzy i wyrażono żal iż tak wzorowy oddział opuszcza wyspę, ztąd poszły zdrowia i serdeczne uściśnienia, a im bardziej wino głowy rozgrzewało, tem łatwiej każdemu przychodziło odgrywać rolę przez siebie przybraną. Wybornie się też wszyscy wywiązywali ze swego zadania, ale im lepiej zapominali o celu dla którego wspólnie pracowali, im się serdeczniej zabawie oddawali, tem silniej uderzało serce w piersiach młodego oficera i tem mu się trudniej stawało, panować nad burzą w niem szalejącą. Nikt nie dostrzegł jednak bladości i zmiany jego twarzy, jeden tylko lekarz dodawał mu ścicha otuchy od czasu do czasu serdecznym wyrazem, nie spuszczając jednocześnie z oka Carmeli. Siedziała ciągle milcząca i nieruchoma, z twarzą opartą o drzwi uchylone i wyrażającą natężoną uwagę. Ordynans widząc ją spokojną, odszedł dla obsługi gości. Po pewnym jednak czasie na znak dany mu przez lekarza, wyszedł z pokoju.

W krótce potem wrócił z dwoma żołnierzami i wszyscy trzej pobrali na plecy zapakowane kufry, stojące w kącie pokoju. Carmela śledziła wzrokiem ich ruchy, aż dopóki nie odeszli; potem, zwrócił znowy swą uwagę na biesiadników.

Lekarz coś wyszepnął na ucho burmistrzowi, który podniósł się zaraz z miejsca trzymając w ręku kieliszek.

— Wnoszę zdrowie! zawołał. Panowie! wypijmy zdrowie naszego zacnego i kochanego porucznika, dowódzcy walecznego oddziału, który nas dziś opuszcza, zostawiając po sobie wspomnienie nigdy nie wygasłe! Piję zdrowie całego oddziału i najdroższego naszego porucznika!

— Niech żyje! zawołali wszyscy, trącając się kieliszkami.

— Niech żyje nasz porucznik, który nas dzisiaj opuszcza! powtórzyli raz jeszcze z zapałem.

Potem burmistrz osunął się ciężko na krzesło jakby trunkiem pokonany.

Przez czas jakiś gwarzono znowu o wspólnie przebytym czasie, o bliskiej podróży, wreszcie lekarz zawołał:

— Panie poborco, zaśpiewaj nam jaką piosnkę!

Wszyscy ogólnym wtórem poparli tę prośbę. Poborca dał się dla formy trochę przymuszać, wreszcie odchrząknąwszy, wziął za gitarę i zaśpiewał parę zwrotek, wesołej jakiejś piosenki. Podochoceni słuchacze, przerywali mu oklaskami i wykrzyknikami pełnemi zapału. W tem głos porucznika odezwał się donośnem brzmieniem po nad wrzawą ogólną:

— Teraz na mnie kolej! — Wszyscy zamilkli; on odebrał gitarę z rąk poborcy, nastroiwszy ją, wstał z krzesła i począł śpiewać... Twarz miał śmiertelnie bladą i ręce mu drżały jakby w febrze; niemniej jednak głos jego wybiegał z piersi czysty, dźwięczny,

i tchnący uczuciem, które mu nadawało niewysłowiony urok.

U nóg twoich, Carmelo,
Chcę spędzić całe życie...

Carmela przysłuchiwała się coraz uważniej, brwi jej ściągały się z lekka od czasu do czasu, jak bywa u kogoś co w swych myślach głęboko jest zatopiony.

— Brawo! wybornie! wyśmienicie! — zawołali razem wszyscy biesiadnicy. Oficer zaczął śpiewać następną zwrotkę i potem usiadł wśród grzmiących oklasków; wyglądał mocno zmęczony; ze wszystkich stron głosy się odzywały, wołające o powtórzenie piosenki; Carmela, nieruchoma jak posąg patrzyła ciągle na porucznika; a tymczasem baczne oko lekarza śledziło z uwagą jej wzrok bystry, rozjaśniający się coraz żywszym promieniem.

— Uciszcie się! zawołał porucznik.

Nastało natychmiast milczenie a przez otwarte okno, dochodzić poczęły od placu wesołe odgłosy skrzypek i fletów zmieszane z jakimś gwarem głośnym tłumu zebranego w pobliżu. Byli to miejscowi grajkowie, otoczeni ludnością miasteczka, która wierzyła iż oddział na prawdę opuszcza wyspę.

Carmela potarła ręką czoło jakby ze snu zbudzona i zwróciła się ku oknu. Twarz jej nieznacznie poczynała się ożywiać, oczy nieustannie biegały od okna do porucznika, a ztamtąd szły znowu krążyć około stołu, jak gdyby chciała jednocześnie słyszeć dokładnie muzykę i nie stracić ani jednego wyrazu wyrzeczonego przez zebranych gości.

Gdy wreszcie skrzypce ucichły na placu, słyszeć się tam dały oklaski i okrzyki, tak samo jak to miało miejsce przed trzema laty.

W tej chwili nadbiegł z pośpiechem ordynans.

— Panie poruczniku, zawołał, statek już gotów do drogi.

Oficer zerwał się z miejsca i głośno wyrzekł:

— Czas mi was pożegnać.

Carmela podniosła się powoli, odsuwając od siebie krzesło; czarne jej oczy utkwiły ognistem wejrzeniem w młodym poruczniku.

Wszyscy goście stół opuścili i tłumnie otoczyli porucznika. Na progu, ukazała się w tej samej chwili matka Carmeli; wsunąwszy się niepostrzeżona do pokoju, uściskała czule córkę i rzekła do niej ścicha:

— Uspokój się moje dziecię, on wróci za dwa miesiące.

Dziewczyna spojrzała bystro na matkę, potem oswobodziwszy się powolnym ruchem z jej objęć, odwróciła twarz od niej i znowu wpatrywać się poczęła w porucznika.

Tymczasem w około niego panował gwar coraz większy; ściskano go, żegnano, życzono mu wszelkich pomyślności w dalszym zawodzie; on zaś przypasywał szablę, potem włożył czapkę i zawiesił sobie u szyi torbę podróżną....

Podczas gdy to wszystko czynił, Carmela roztworzyła drzwi zupełnie, i o krok naprzód postąpiwszy, patrzała wyrazistym i pełnym ożywienia wzrokiem, to na oficera i na jego gości, to znowu na stojącą przy niej matkę; obiema rękami pocierała sobie mocno czoło, czochrała niemi włosy i głęboko wzdychała z wyrazem udręczenia, drżąc konwulsyjnie na całem ciele.

I znowu muzyka zabrzmiała na placu, i znowu zawtórował jej odgłos oklasków...

— Chodźmy! — rzekł stanowczo porucznik zabierając się do odejścia.

Wykrzyk donośny, przenikliwy, rozpaczą przepełniony, wydarł się z piersi Carmeli. Jednocześnie przypadła do porucznika błyskawicznym skokiem, objęła go wpół z nadludzką siłą i oplotłszy go swemi ramionami, namiętnie poczęła całować twarz i ręce, z krzykiem i z gwałtownem łkaniem, macając rękami głowę jego, ręce, ramiona, na podobieństwo matki, nie umiejącej uwierzyć że trzyma w objęciach uratowanego syna, którego przed chwilą tonącego w bystrych nurtach widziała. Ale zaledwie parę chwil ubiegło, biedna dziewczyna osunęła się bezprzytomna na ziemię przy nogach porucznika.

Była ocalona!...

Oficer rzucił się w objęcia przyjaciela, już otwarte dla przyjęcia go. Matka klęczała przy córce, ściskając ją i oblewając łzami. Wszyscy obecni wznieśli ręce ku niebu, dziękując z radością Bogu miłosiernemu. Na placu, muzyka ciągle się odzywała.

We cztery miesiące potem, w piękną noc wrześniową, nie o wiele mniej od dnia jasną, statek parowy mknął szybko po morzu, zbliżając się ku sycylijskim wybrzeżom. Opuścił był niedawno Tunis, i po drodze, zatrzymał się jak zawsze u przystani znanej nam wysepki. Woda tak była spokojna i wygładzona, że statek zdawał się stać w miejscu, tak ruchy jego były nieznaczne. Podróżni znajdowali się wszyscy na pokładzie, w milczeniu podziwiając gwiaździste niebo i morze posrebrzone światłością księżyca.

Nieco opodal, na uboczu, stało dwoje młodych ludzi, zwróconych ku widnokrągowi który statek za sobą zostawiał. Kobieta wsparta była na ramieniu swego towarzysza, głowy ich dotykały się prawie. W dali majaczały jeszcze zarysy wyspy, którą oboje tylko co opuścili; patrzyli na nią w milczeniu. Długo tak stali, wsparci o brzeg statku, i pogrążeni w cichej zadumie; w końcu młoda kobieta rzekła podnosząc głowę:

— A jednak jakże mię serce boli, w chwili gdy się oddalam od tej ubogiej osady, gdziem tyle wycierpiała, gdzie ujrzałam cię po raz pierwszy, gdzieś mię do życia przywrócił!...

Westchnęła i głowę oparła o ramię swego towarzysza.

— Wrócimy tam kiedyś — odpowiedział, z wracając z pieszczotą jej twarz ku sobie, by módz w oczy jej spojrzeć.

— A czy wrócimy do twego mieszkania?—spytała słodko.

— Wrócimy.

— I wieczorem rozmawiać z sobą będziemy przy tem oknie, z którego mię kiedyś wołałeś?

— Zrobimy to.

— I zagrasz mi znowu na gitarze, zaśpiewasz tę samą co wtedy piosnkę.

— O tak, tak.

— Zaśpiewaj mi ją teraz! — zawołała z namiętnem uniesieniem Carmela; — o zanuć ją ścicha.

Zbliżył usta do jej ucha i półgłosem zaśpiewał:

U nóg twoich Carmelo,
Chcę spędzić....

Zarzuciła mu ręce na szyję i głośnym płaczem wybuchła.

— O! ty biedna i święta istoto... — rzekł tuląc ją do siebie; — tu miejsce twoje, tu przy mojem sercu, tu, na zawsze!

W tem znagła wyrwała się z jego objęć, i trwożnem spojrzeniem ogarnąwszy ginącą w dali wyspę, wygładzone tonie i postać swego męża, zawołała:

— Ach! to chyba sen tylko!

— Nie, moja droga! — odrzekł przyciągając ją czule ku sobie, nie sen to, ale chwila przebudzenia.

Statek przemykał się po morzu tak szybko, jak gdyby go wiatr na swoich skrzydłach unosił...

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Filtry do oczyszczania wody.

Wiele jest rodzai filtrów do oczyszczania wody, każdy z nowo urządzonych ma jakieś swoje zalety, najpraktyczniejszemi wszakże wydały nam się dwa filtry oglądane w magazynach pp. Brünera w Europejskim hotelu i Knolla na Czystej ulicy. Za pierwszy nawet doświadczeniem własnem, w kilkoletniem użyciu stwierdzonem zaręczyć możemy; drugi po zbadaniu, jako przyrząd bardzo prosty, bez żadnej komplikacyi, nie potrzebujący za każdą razą nowego zachodu, mówi także za sobą. Oba te filtry są z piaskowca. Pierwszy mocno wypalony i polewany, ma kształt samowaru szerokiego i bez wydatnej podstawy od dołu, w najniższej części ma kurek, a z wierzchu głęboko wchodzącą pokrywę śpiczastą. Wewnątrz filtr ma trzy ściany kamienne grubo wmurowane, i stosownie urządzone na które woda stopniowo opadając czyści się i zarazem oziębia. W górnej ścianie otwór zakrywa gąbka zastosowanej wielkości: gąbkę tę trzeba mieć w szczególnej opiece, płukać codziennie, i często zmieniać gdy się cokolwiek zmniejszy. Nalana wierzchem woda natychmiast przepływa przez wszystkie trzy ściany zupełnie czysta i znakomicie oziębiona. Cena tego filtru wynosi od rs. 6 do rs. 12. Jest on w trzech wielkościach tylko.

Drugi filtr kształt garncowej butelki przypomina, jest także z piaskowca ale surowego, obity szeroko parę razy blachą białą. Zanurzony w ceber zimnej wody, powoli napełnia się wodą zupełnie kryształowej czystości, choćby w najmętniejszą wstawiona była. Manipulacya ta odbywa się nader szybko, filtr w całodziennym może być użyciu, i tem wynagrodzi niewielką swoją objętość. Temperatura jednak wody nic na oczyszczeniu nie zyskuje, jak to ma miejsce z filtrem poprzednio opisanym. Magazyn p. Knolla na Czystej ulicy w znaczną liczbę tych przyrządów się zaopatrzył, sprzedając je w cenie od rs. 3 kop. 50 do rs. 7 k. 50.

Zrobić tu jednak musimy uwagę, aby pierwsze parę dni woda biaława nie zrażała kupujących, pochodzi to z pozostałych okruszyn piaskowcowych w skutek toczenia wewnętrznego filtru, które dopiero kilkodniowe użycie ostatecznie usunąć może.

Zawiadomienie.

Na korzyść biednych pogorzelców w różnych stronach kraju, złożono w redakcyi naszej dziesięć egzemplarzy dziełka p. t. Pamiętniki Beniamina Franklina przetłomaczone z francuzkiego. Ceny za dziełko nie naznaczono, gdyż zostawiono to dobrej woli kupujących:— w księgarniach sprzedaje się po kop. 50. Nadmieniamy przytem, że wszelkie składki na rzecz biednych pogorzelców chętnie przyjmować będziemy i o odbiorze ich zaraz w rubryce Odpowiedzi doniesiemy.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami i arkusz z krojami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 22 Іюля (3 Августа) 1875 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Opis do N. 32.

(Ciąg dalszy).

N. 13. Sukienka z haftowanym kaftanikiem dla dziewczynki. Deseń w dodatku Figura 64—65.

Biały batystowy kaftaniczek zupełnie puszczany, lub wcięty z tyłu i ozdobiony haftem, stanowi ładne dopełnienie wyciętych letnich sukienek. Na ryc. 13 haft z brzegów kaftanika i przy rękawach dany jest wprost na batyście, ale można także oddzielne szlaki przystębnować wązziutką wypustką. Haftowany kołnierzyczek związany jest kolorową krawatką.

N. 14. Ubranie dla chłopczyka. Krój jak do ryc. 18.

Bluzka marszczona w pasie lub przyciśnięta paskiem i krótkie majtki, ściągnięte u dołu na elastykę, odszyte są z letniego sukienka, podług kroju podanego przy ryc. 18. Przyozdobienie stanowi aksamitna zakłada wzdłuż przodu bluzki, przyciśnięta świecącemi guzikami, kołnierzyk epoletki i obłożenie przy rękawach są także z aksamitu.

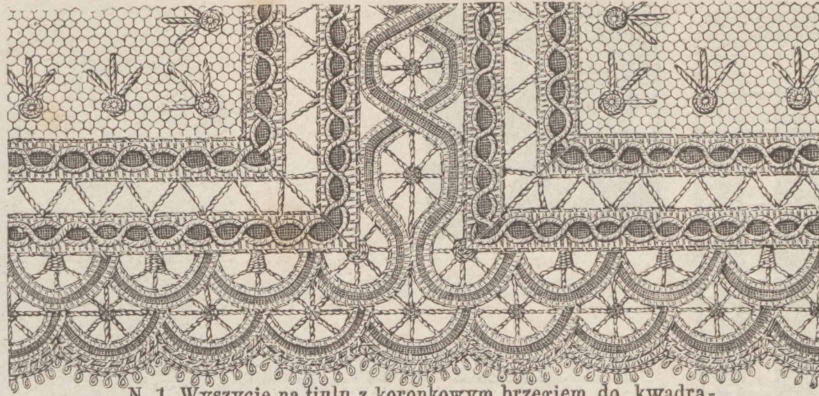
N. 15 tudzież 32—34. w N. 31. Ubranie dla dziewczynki lat 4—6. Krój i deseń w dodatku N. VI, Figura 14—19.

Rycina 15 dzisiajszego N-ru przedstawia całość ubrania którego pojedyncze części już były załączone w przeszłym N-rze na ryc. 32—34. Fig. 14—19 na arkuszu z krojami podaje formę kaftaniczka z baskiną z tyłu i bluzkowej kamizelki zapinanej z tyłu na guziki, a z przodu założonej w trzy fałdy po 5 cent. szerokie, na które przy krajaniu przodów (Fig. 18) przypuszcza się w środku po 15 cent. na każdą stronę, wykrój szyi dopasowywa się już po złożeniu fałdów.

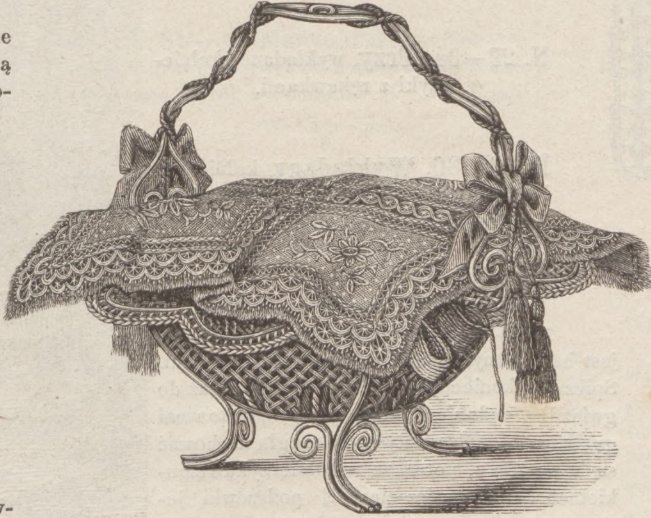
Spódniczka zszyta z prostych brytów 34 cent. długa 200 szeroka założona jest z przodu w płaską 8 cent. szeroką fałdę, z tyłu zaś i z boków w fałdy 5 cent. szerokie i wszyta w pasek $2\frac{1}{2}$ cent. szeroki. Model ten naśladujący ubrania angielskie przybrany jest wyszyciem z sutaszu, którego deseń załącza ryc. 4 w N. 31. Fig. 15-a podaje połowę rozety, jakiemi ozdobiony jest kaftanik i sukienka fig. 18-a deseń wyszycia na fałdach kamizelki Brzegi kołnierzyka i kieszonek są także wąziutko wyszyte sutaszem.

N. 16. Bluza dla dzieci lat 3—5. Patrz ryc. 28—29 w N. 31. Krój w dodatku N. IX, Fig. 38—40.

Praktyczna ta bluza nadaje się zarówno dla małych dziewczynek i chłopczyków. Rycinc 16 w dzisiajszym i 28 w przeszłym N-rze przedstawiają bluzkę z białego perkalu, przyozdobioną 6 cent. szerokim, kolorowym obrębem, po nad którym dany jest szlaczek, wyszyty odpowiedniego koloru bawełną. Rycina 29 w przeszłym N-rze załącza w naturalnej wielkości wzór szlaku. Szlaki takie wyszywają się na kratkach podłożonej kanwy, którą wysiepuje się zupełnie po ukończeniu wyszycia. Krając bluzkę podług fig. 38 składa się materyjał na dwoje, tak jak przy krajaniu stanu do koszul; rozporek z przodu oszyty jest kolorowym obrębem, i zapina się od spodu na guziki. Szarfa związana z boku, z tego co oszycie materyjału, liczy 18 cent. szerokości a 110 długości.



N. 1. Wyszycie na tiulu z koronkowym brzegiem do kwadratów na przykrycie koszyczka patrz ryc. 2. Deseń kwadratów w dodatku Fig. 63.



N. 2. Koszyczek do robót z haftowanem denkiem i przykryciem Patrz ryc. 1—3.



N. 3. Wzór haftu kolorowemi jedwabiami na denko koszyczka. Patrz ryc. 2.



N. 4. Szlak haftowany jedwabiami z podkładaniem sukna do przyozdobienia portyjer krzeseł, wałków pod głowę.

N. 17 i 22. Suknia z wyciętym stanikiem i vêtement dla panienek lat 7—10. Patrz także ryc. 31 w N. 31. Krój w dodatku N. VIII, Fig. 28—37.

Ryciny 17 i 22 przedstawiają przód i plecy gładkiej batystowej sukienki, z vêtement w kratę w kolorze écru. Rycina 31 w przeszłym N-rze podaje staniczek wycięty, z gładkiego materyjału sukienki, który przyczepia się do środka przedniego bryta spódniczki, zapinanej z boku. Gładki 15 cent. szeroki wolant przyszyty jest pliską w kratę, z nagłówkiem gładkim 3 cent. szerokim. Przody, boczki i plecy vêtement (fig. 32—34) zszywają się podług odpowiednich liter, następnie tylną część tuniki fałduje się u góry, podług odpowiednich znaków i łączy w pasie z plecami i boczkami od K—Q; boczne brzegi sfałdowane na długości 21 cent. przyszywają się od spodu bocznych brzegów zachodzącego na wierzch przedniego bryta, który przemarszcza się trzy razy podług oznaczonej prostej linii na fig. 32. Mankiety (fig. 37) zachodzące końcami na siebie od punktu do gwiazdki, przyszywają się na rękawach od S—U. Brzegi vêtement zakończa gładka pliska 3 cent. szeroka.

N. 18. Bluza dla chłopca lat 7—10. Krój w dodatku N. VII, Fig. 20—23.

Taką bluzę można odszyć z korciku letniego, bukskinu, płótna lub t. p. materyjału: wzdłuż przodu dają się kryte guziki do zapinania; brzegi bluzy zakończa zastębnowany obręb. W pasie odpowiednio do gustu można dać listewkę do zmarszczania lub przycisnąć bluzę paskiem skórzanym; na przodach dodane są kieszonki z szeroką klapką z wierzchu.

N. 19—21. Ubrania kąpielowe dla dzieci.

Na trzech powyższych rycinach załączamy modele ubrań kąpielowych, do których kroje znajdą czytelniczki w dawniejszych N-rach Tygodnika. Dodamy tylko uwagę, że do zwykłych rzecznych kąpieli używa się za materyjał na ubranie perkal lub kreton, do morskich zaś odpowiednia jest flanelka.

N. 22. Opis przy ryc. 17.

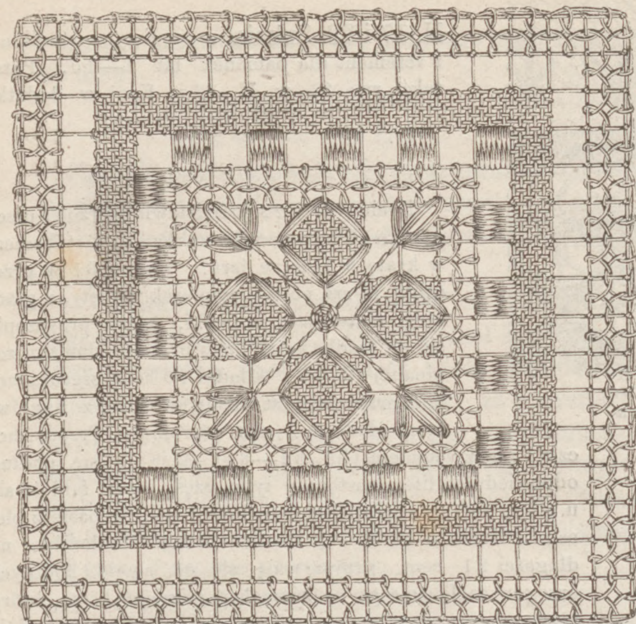
N. 23 i 26. Opis przy ryc. 1 w N. 31. Krój w dodatku N. I, Fig. 1—4-a.

N. 24. Suknia z perkalu w paski.

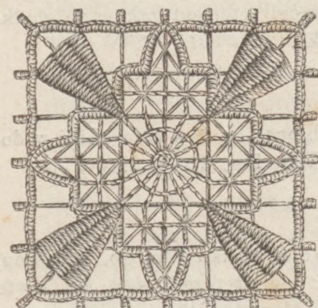
Gładki kaftaniczek bez rękawów, stanowi dopełnienie sukni z perkalu w paski; spódnica ma trzy plisowane wolanty w paski, a jedną haftowaną falbanę z materyjału gładkiego. Tunika fartuszkowa z przodu, a z tyłu dopełniona prostym brytem, zakończona jest plisowaną falbanką. Słomkowy kapelusz z szerokim rondem przybrany jest broszowaną wstążką i kwiatami.

N. 25. Suknia ozdobiona haftem.

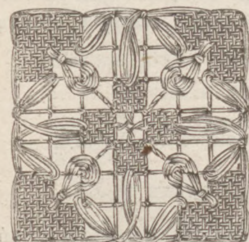
Suknia z gładkiego, letniego materyjału ma tunikę fartuszkową, zszywaną naprzemian z pasów haftowanych fabrycznie i bufowanych, z tyłu dopełnioną szarfą a u dołu oszytą falbanką plisowaną. Stanik z baskiną z materyjału haftowanego, maz przodu kamizelkę gładką, odznaczoną takąż riuszą. Kapelusz biały bastowy



N. 5. Kwadrat z siatki gipiurowej na serwety i t. p.



N. 6. Kwadracik z siatki gipiurowej.



N. 7. Kwadracik z siatki gipiurowej do obszycia krawatów.

przybrany jest kolorową wstążką, kwiatami i ma dodane białe tiulowe końce do lekkiego przewiązania pod szyją.

N. 27. **Stanik** z baskiną dla panienek lat 12—15. Krój w dodatku N. X, Fig. 41—44.

Fig. 41—44 podają krój stanika z baskiną, dobrze leżącego na szczupłych figurach młodziutkich panienek, brzegi baskiny zakończa szeroka wypustka, rękawy mają u góry dodane bufy a u dołu fałdowanie z gładkiego materyjału, jakim przybrana jest sukienka w paski. Tenże sam krój można przedłużyć i zastosować do vêtement, jak to przedstawia ryc. 30 w N. 31.



N. 8. Kwadracik z siatki gipiurowej.

N. 28. **Koronka** irlandzka z gładkiej i medalijonowej plecioneczki, do sukien letnich, vêtement i t. p.

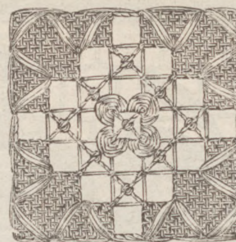
N. 29—34. **Trzy** wykładane kołnierzyki z rękawkami.

N. 29—30. **Wykładany** kołnierzyk i rękaw z perkalu w paski. Krój w dodatku N. XII, Fig. 56—57.

Kołnierzyk i mankiet z perkalu w paski białe z niebieskim, zakończony jest haftowanym szlakiem, 3 cent. szerokim. Spiczasty koniec mankieta, zachodzący aż do gwiazdki, ozdobiony jest trzema batystowemi guzikami. Ażeby sztywność mogła zachować się w noszeniu, potrzeba w kołnierzyku i mankietach dodać oprócz cienkiej podszewki jeszcze trzeci materyjał grubszy w środek.



N. 13. Sukienka z haftowanym kaftanikiem dla dziewczynki. Deseń w dodatku Fig. 64—65. N. 14. Ubranie dla chłopczyka. Krój jak do ryc. 18. N. 15. Ubranie dla dziewczynki lat 4—6. Krój i deseń w dod. N. VI, Fig. 14—19. N. 16. Bluza dla dzieci lat 3—5. Krój w dod. N. IX, Fig. 38—40. N. 17. Sukńia z wyciętym stanikiem i vêtement dla panienek lat 7—10. Plecy. Krój w dodntku N. VIII, Fig 28—37.

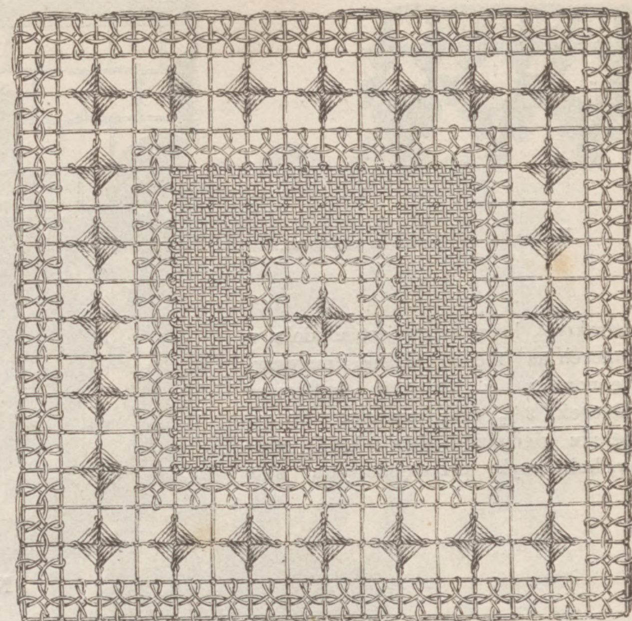


N. 9. Kwadracik z siatki gipiurowej.

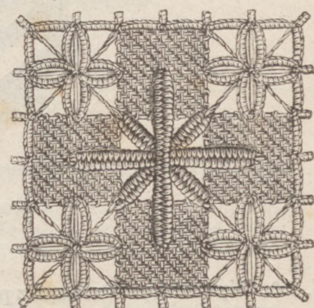
Szmizetka i rękawki do wszycia mankietów są zwykłej, od dawna noszonej formy.

N. 31—32. **Marynarski** kołnierzyk z krawatką i rękaw z kolorowym obrębem. Krój w dodatku N. V, Figura 11—13.

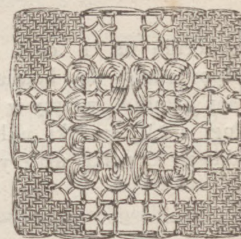
Kołnierz i mankiet z cienkiego płótna ozdobione są niebieskim obrębem z materyjału *indienne*. Ażeby obręb gładko i równo leżał, potrzeba dopasować go zupełnie podług formy kołnierzyka i rękawka, przyszyć do brzegów kołnierzyka odwinąć przycinając równo brzegi a następnie zwierzchu przystębnować. Szerokość obrębu wynosi 3 1/2 centymetrów. Kołnierzyk przyszywa się do szmizetki i wywija wypukło, z tyłu na 4 1/2 cent. szerokości a z przodu całkiem rogami. Krawatka z białego batystu, wymaga prostego paska wąziutko zaobrąbionego, 100 cent. długości a 12 szérokości mającego i ściętego szpiczasto w końcach oszytych obrębem. Otwarty mankiet (fig. 12) połączony jest z rękawem (fig. 13) prostym paskiem, 3 cent. szerokim, zapiętym na guzik. Brakującą długość rękawa na fig. 13 potrzeba przeciągnąć do 34 cent.



N. 10. Kwadrat z siatki gipiurowej.



N. 11. Kwadrat z siatki gipiurowej.



N. 12. Kwadrat z siatki gipiurowej.

N. 33—34. **Plisowany** kołnierzyk i rękawek.

Kołnierzyk z gładkiego materyjału indienne, wszyty w wązki paseczek, wymaga prostego podwójnego kawałka materyjału różowego, niebieskiego lub écru, 6 1/2 cent.



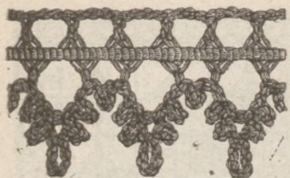
N. 18. Bluza dla chłopca lat 7—10. Krój w dodatku N. VII, Fig. 20—23.



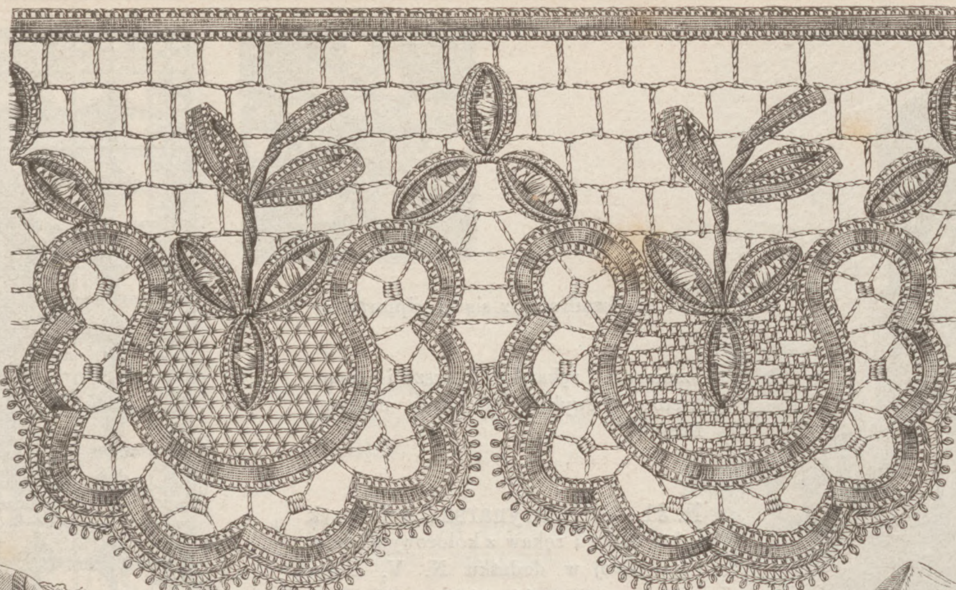
N. 19—21. Ubrańia kąpielowe dla dzieci. N. 22. Sukńia z wyciętym stanikiem i vêtement dla panienek, przód. N. 23. Suknia z vêtement zapinanem na ramionach. Krój w dodatku N. I, Fig, 1—4. Przód. N. 24. Suknia z perkalu w paski. N. 25. Suknia ozdobiona haftem. N. 26. Suknia z vêtement zapinanem na ramionach. Plecy. Patrz ryc. 23.



N. 27. Stanik z baskiną dla panienek lat 12—15. Krój w dodatku N. X, Fig. 41—45.



Koronka szydełkiem robiona.

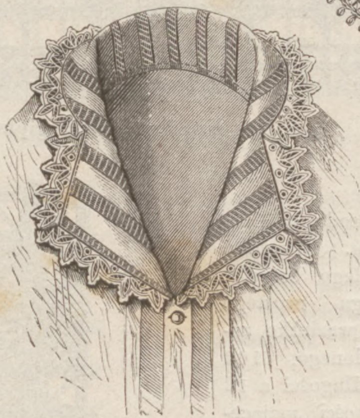


N. 28. Koronka irlandzka z gładkiej i medaljonowej plecioneczki.



Koroneczka szydełkiem robiona.

szerokości, który ścięty jest u dołu w końcach na 1 cent. skośno i ma przystębnowany z brzegów haftowany szlaczek, 3 ½ cent. szeroki. Po założeniu siedmiu fałdów z każdej strony, kołnierzyk przestębnowywa się



N. 29. Wykładany kołnierzyk z perkalu w paski. Krój w dodatku N. XII, Figura 56—57.

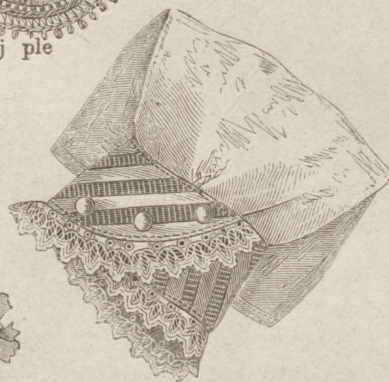
powtórnie na 1 cent. od brzegów. Odpowiednio do kołnierzyka ufałdowany mankiet, wszyty w pasek 25 cent. długi, a 2 ½ szeroki, układa się z podwójnego kawałka materyjału, 46 cent.



N. 40. Kapelusz ogrodowy. Krój w dodatku N. IV, Figura 8—10.

N. 35—39. Modne chusteczki do nosa.

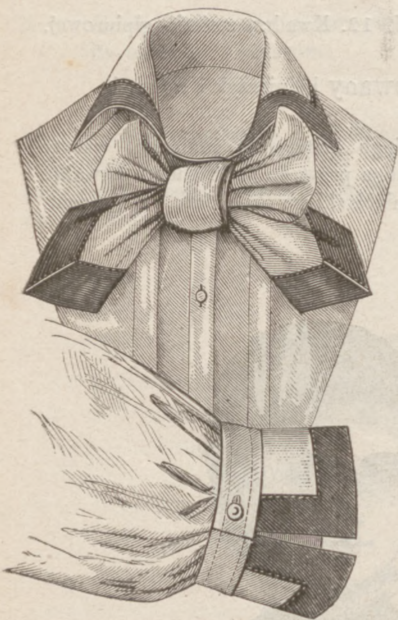
Na trzech rycinach podajemy chusteczki z kolorowemi szlakami, ciągle utrzymujące się w modzie; potrzeba



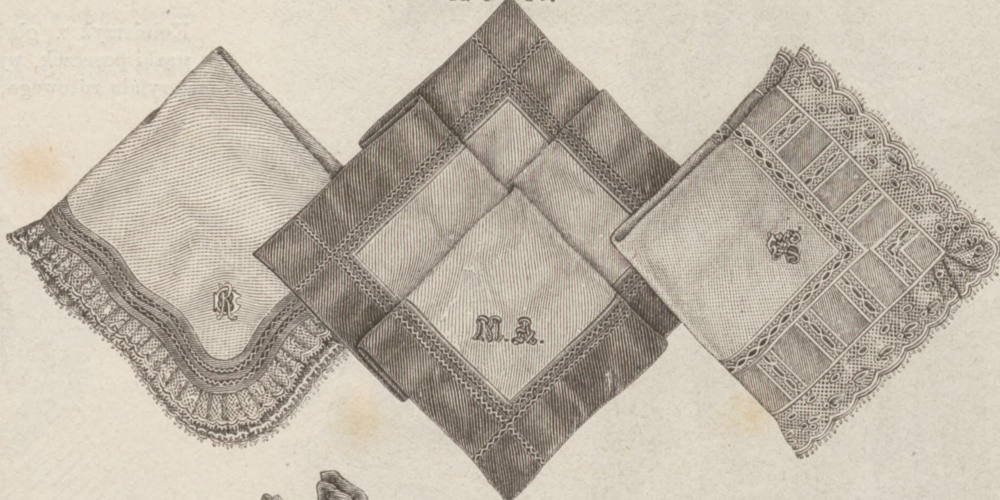
N. 40. Rękawek z perkalu w paski do kołnierzyka N. 29. Krój w dodatku N. XII, Fig. 56—57.

tylko uważać aby kolor szlaku odpowiedni był do sukni lub szlaku w kołnierzykach. Na szlaki w tych modelach użyta jest cienka tkanina indienne, pąsowa, szafirowa, piaskowa lub t. p.

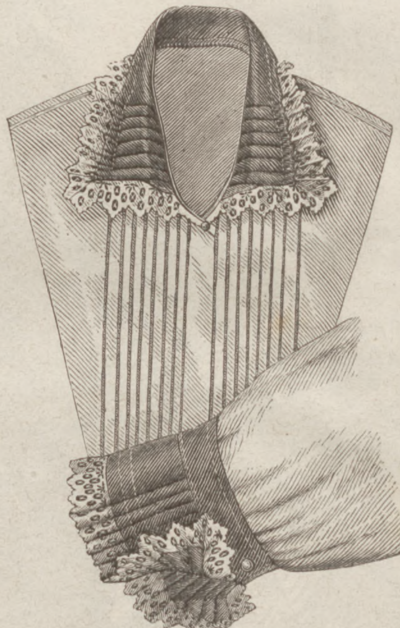
Ryc. 35 na brzegi wycięte w zęby i zakończone szlakiem z ażurową kratką, który podaje w naturalnej wielkości ryc. 36, potrzeba do tego wązkie pliseczki skośne skła-



N. 31—32. Marynarski kołnierzyk z krawatką i rękaw z kolorowym obrębem. Krój w dodatku N. V, F. 11—13.



35—37. Chusteczki do nosa.

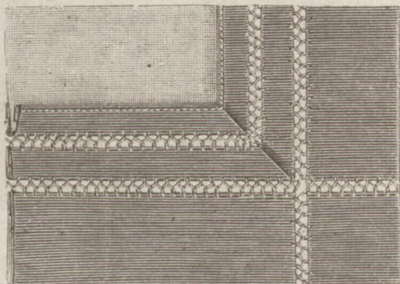


N. 33—34. Plisowany kołnierzyk i rękawek.

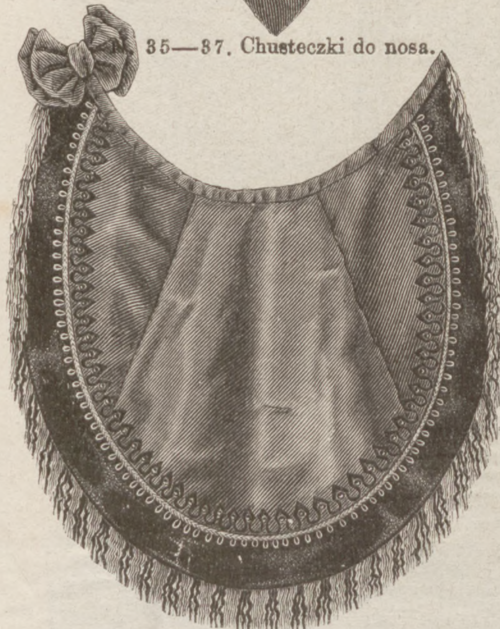
długiego a 5 ½ szerokiego. Potrzeba pamiętać aby haft w wykładanych rogach mankieta był przyszyty na prawą stronę po odwinięciu.

dać we dwoje, obracając złożeniem do kratki, dodanej ściegiem krzyżowym. Górna pliska przystębnowana jest do chusteczki, a przy dolnej dodana piękna lekko zaplisowana walansjenka. Wielkość chusteczki wynosi 30 cent. w kwadrat nie licząc w to koronki; brzegi wycięte są z każdej strony w cztery płaskie zęby.

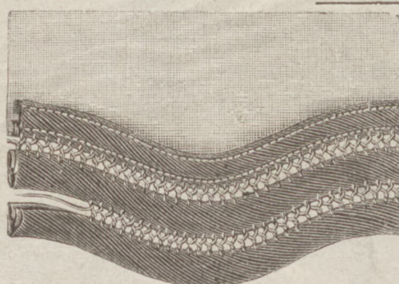
(dok. nast.)



N. 38. Chusteczka do nosa z kolorowym szlakiem.



N. 41. Fartuszek formą tuniki. Krój w dodatku N. III, Fig. 6—7.



N. 39. Chustka do nosa.

TYGODNIK MOD

w Warszawie 1875

Dodatek z krojami i deseniami do N. 31 i 32.

N. I. Suknia z vêtement zapinanem na ramionach, zwanem bluzą grecką. Ryc. 1 w N. 31 i ryc. 23 i 26 w N. 32.

Fig. 1. Połowa przodu (A, B, L, jedno założenie formy)
Fig. 2. Boczek przedni (A, B, C, D, M, : jedno założenie formy)
Fig. 3. Boczek 2-gi do pleców (C, D, E, F, G, H, M, 1╳1, 4╳4—. 5╳5, jedno założenie formy)
Fig. 4. Połowa pleców (E, F, I, K, L, . 1╳1 . 4╳4—. 5╳5, jedno założenie formy)
Fig. 1-a—4-a. Zmniejszony rysunek bluzy greckiej.

Fig. 1.a 4.a

N. II. Mantyla. Rycina 13 i 14 w N. 31.

Fig. 5-a. Pierwsza część mantyli (N, O, przecięcie formy)
Fig. 5-b. Druga część mantyli (N, O, P, Q, linija złączenia formy)
Fig. 5. Zmniejszony rysunek złączonych części mantyli.



Dla braku miejsca musieliśmy podać formę mantyli w dwóch częściach, których złączenie wskazujemy na małym modelu Fig. 5, przecięcie to jednak nie jest potrzebne, zwłaszcza krając mantylę z szerokiego materyjału. Na Fig. 5 oznaczone także jest obłożenie 4 cent. szerokie pod które zachodzą węższe paski naszycia poprzecznego (jak na ryc. 13) lub podłużnego (jak na ryc. 14). Ryc. 13 podaje z przodu mantylę z lekkiego materyjału écru, przerabianego w pasy kółek ażurowych; albo z materyjału gładkiego, z naszytemi paskami haftu; z obłożeniem z ciemniejszego gładkiego materyjału i z koronką écru wełnianą, albo z falbanką haftowaną na batyście białym. Na ryc. 14 widzimy mantylę czarną kaszmirową przedstawioną z tyłu ze wstawkami z ażurowej torsady, odrobionej z wełnianego sutaszu, podług próbki załączonej w naturalnej wielkości na ryc. 12. Oprócz wstawek mantyla naszyta jest pletnią wełnianą 1 1/2 cent. szeroką, a w koło ogarnirowana plisowaną koronką i szeroką frendzlą ozdobioną dżetem.

N. III. Fartuszek w kształcie tuniki ryc. 41 w N. 32.

Fig. 6. Połowa przedniego bryta (R, S)
Fig. 7. Bryt boczny (R, S)

N. IV. Kapelusz do ogrodu. Ryc. 10 w N. 31 i 40 w N. 32.

Fig. 8. Połowa główki (T, U)
Fig. 9. Połowa rondka (T, V, W)
Fig. 10. Połowa karczka (U, V, W, . 6╳6 .—10╳10

N. V. Kołnierzyk marynarski i mankiety Ryc. 31—32 w N. 32.

Fig. 11. Połowa kołnierzyka marynarskiego.
Fig. 12. Połowa mankieta.
Fig. 13. Połowa rękawka

N. VI. Kaftaniczek, bluzka i spódniczka dla dziewczynki lat 4—6. Ryc. 32—34 w N. 31 i ryc. 15 w N. 32.

Fig. 14. Przód kaftaniczka (a, b, c, d, e, k)
Fig. 15. Połowa pleców (a, b, c, d, i)
Fig. 15-a. Połowa arabeski do wyszycia sutaszem na kaftaniczku i spódniczce.
Fig. 16. Rękaw (a, f, g, h)
Fig. 17. Połowa kołnierza (i, k)
Fig. 18. Połowa przodu bluzki (l, m, n, o)
Fig. 18-a. Deseń do wyszycia na zakładach bluzki.
Fig. 19. Plecki (l, m, n, o)



N. VII. Bluza dla chłopczyka lat 7—10. Rycina 18 w N. 32.

Fig. 20. Przodek bluzy (p, q, r, s, t, y)
Fig. 21. Połowa pleców (p, q, r, s, x)
Fig. 22. Rękaw (t, u, v, w)
Fig. 23. Połowa stojącego kołnierza (x, y)

Dodatek z krojami i deseniami do N. 31 i 32.

N. VIII. Stanik wycięty i vêtement dla dziewczynki lat 7—10. Ryc. 17 i 22 w N. 32 i ryc. 31 w N. 31.

Fig. 28. Przodek stanika (A, B, E, F, G)
Fig. 29. Boczek (A, B, C, D)
Fig. 30. Połowa pleców (C, D, E, F)
Fig. 31. Rękaw (G, H)
Fig. 32. Przodek od vêtement (I, K, L, O, P, R jedno załamanie formy)
Fig. 33. Boczek (I, K, M, N)
Fig. 34. Plecy (M, N, O, P, Q)
Fig. 35. Połowa tylnego bryta (K, L, Q, . 1╳1—. 4╳4, jedno załamanie)
Fig. 36. Rękaw (R, S, T, U)
Fig. 37. Mankiet (S, U, ., *)

N. IX. Sukienka dla dzieci lat 3—5. Ryc. 28 w N. 31.

Fig. 38. Połowa przodu i pleców sukienki (V, W, X, Y, Z, :, °, . 5╳5—. 6╳6)
Fig. 39. Połowa rękawa z ćwiklem (:, V, W)
Fig. 40. Przyramka (Z, °)

N. X. Stanik z baskiną ze wskazaniem sposobu przykrójenia podług tej formy vêtement, dla panienki lat 12—15 ryc. 27 w N. 32.

Fig. 41. Przodek (a, b, e, f, g)
Fig. 42. Boczek (a, b, c, d)
Fig. 43. Połowa pleców (c, d, e, f, . 7╳7)
Fig. 44. Rękaw (g, h, i, k)
Fig. 45. Zmniejszony rysunek stanika przedłużonego jako vêtement.

N. XI. Kaftanik z przeciętą baskiną, z kołnierzem z rewersem i kamizelką, dla dziewczynki lat 3—5. Ryc. 25—27 w N. 31.

Fig. 45.

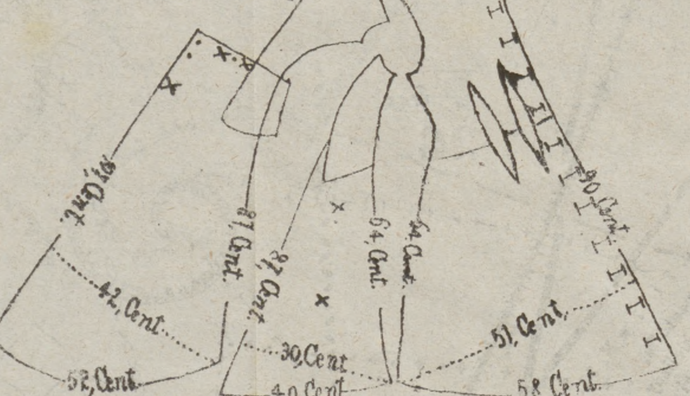


Fig. 46. Kamizelka (l, m, p, q)
Fig. 47. Przodek (l, m, p, q, …)
Fig. 48. Kieszonka do przodu (*, :)
Fig. 49. Boczek (l, m, n, o, ┼, .)
Fig. 50. Patka kieszonkowa do boczka (┼, .)
Fig. 51. Połowa pleców (n, o, p, q, v)
Fig. 52. Rękaw (r, s, t, u)
Fig. 53. Mankiet (s, u)
Fig. 54. Połowa kołnierza (v, w)
Fig. 55. Połowa patki do pleców.

N. XII. Kołnierz z rewersem i mankiet z rękawkiem ryc. 29 i 30 w Nrze 32.

Fig. 56. Połowa kołnierza
Fig. 57. Połowa mankieta (*)

N. XIII. Czepek kąpielowy z dyjademem. Ryc. 13 w N. 31.

Fig. 58. Połowa dyjademu.

Okrągłe ceratowe denko, mające 42 cent. średnicy, fałduje się i wszywa w listewkę z tasiemki szafirowej wełnianej. Dyjadem podług fig. 58 przykrojony, pokrywa się szafirowym tybetem, w górze daje białą wełnianą wypustkę, i przyszywa do denka w sposób na ryc. 18 wskazany. Od dyjademu nawlóczy się w kuliskę do tyłu białą tasiemkę do przyciągania i wiązania czepka. Kotwicę wyszywa się na tybecie bawełną białą, ściegiem łańcuszkowym. Z boku na denku przypięta kokarda z szerokiej wełnianej tasiemki.

N. XIV. Czepek kąpielowy z czółkiem fałdowanem. Ryc. 10 w N. 31.

Fig. 59. Połowa czółka.

Okrągłe ceratowe denko z przodu wszyte jest w czółko krajane skośnie, a mające 17 cent. środkowej, 8 ½ brzeżnej szerokości, z tyłu denko objęte jest listewką z szerokiej pąsowej lub szafirowej tasiemki. Czółko składa się w fałdki w sposób na ryc. 19 wskazany, tak aby brzeg górny tworzył falbankę przy denku, brzeg przy twarzy wszywa się w tasiemkę kolorową, którą fałdy są także przeszyte w górze, na tej tasiemce wyszyte są ząbki białe lub pąsowe ściegiem łańcuszkowym. Od spodu fałdy podszywa się białą tasiemką. Z boku przypięta kokarda z szerokiej kolorowej tasiemki, ozdobiona dżetową kotwicą.

N. XV. Trzewik do kąpieli ryc. 15 w N. 31.

Fig. 60. Połowa trzewika wraz z deseniem do wyszycia (x, y, z)
Fig. 61. Podeszew (y, z)

